



Polonistyka za granicą

Polonistyka za granicą

Jesienią ubiegłego roku, kiedy zniknęły dawne, długo utrzymywane ograniczenia w naukowych kontaktach z Zachodem, kiedy rozpadł się obóz „ludowych demokracji” i zaczynał rozpadać się ZSRR, zwiastując odpowiednie, a trudne do przewidzenia zmiany także w kulturze, a więc i w literaturoznawstwie, a jeśli tak, to i na naszym poletku, badaczy polskiej literatury — umyśliliśmy zagadnąć kolegów po fachu, co też sądzą o sytuacji naszej dyscypliny w ogóle oraz jej pożądanym, jak też możliwym do wyobrażenia przemianach. Ich kąty widzenia siłą rzeczy odmienne od perspektywy krajowej, a także wolne od nalogów polonocentryzmu, zapewniały osądy i diagnozy ożywcze dla naszych, znudzonych polonistyczną rutyną, czytelników. O odpowiedzi na pytania naszej ankiety poprosiliśmy najpierw (bo okazało się to łatwiejsze) wybitnych uczonych zajmujących się badaniem i nauczaniem języka oraz literatury polskiej na Zachodzie; ufamy przecież, że nie mniej ciekawy i bogaty zespół opinii przyniosą głosy bliższych i dalszych sąsiadów ze Wschodu.

Dyskusja nie jest zamknięta, stanowiska, klarownie wyrażone, mówią same za siebie — bez komentarza. Profesorowie Stanisław Barańczak oraz Halina Filipowicz zechcą przyjąć podziękowanie za zachętę i pomoc w realizacji przedsięwzięcia, wszyscy zaś biorący udział w dyskusji — z wyrozumiałością odnieść się do skrótów, jakie zmuszeni byliśmy poczynić w ich wypowiedziach, wtlaczając je w rozmiary odpowiadające możliwościom pisma.

A oto pytania naszej ankiety:

1. Wydziały slawistyki zdominowane zostały przez swego rodzaju „rusycystyczny imperializm”. Czy po rozpadzie imperium politycznego są szanse

na przywrócenie pewnej równowagi w tym względzie i obdarzenie większym zainteresowaniem (także typu komparatystycznego) różnych mniejszych literatur Europy Środkowowschodniej? Jak taka „równowaga” winna wyglądać?

2. Literatura polska wydaje się mimo wszystko ciekawsza — i chyba też bardziej atrakcyjna — niżby to wynikało z nader skromnej liczby studentów polonistyki na Zachodzie. Jak wytłumaczyć tę sytuację? Czym literatura polska może zainteresować (ewentualnie: czego może nauczyć) człowieka Zachodu? Jakie są główne trudności w jej prezentowaniu?

3. Jakie zajęcia prowadzi Pan/Pani z literatury polskiej na swoim uniwersytecie? Jeśli nie są to wyłącznie zajęcia dla studentów polonistyki, czym — Pana/Pani zdaniem — kierują się słuchacze przy wyborze tego przedmiotu? Jaką tematykę badawczą najchętniej podejmują?

4. Polonistyka w kraju jest powiązana ściśle, także instytucjonalnie, z teorią literatury — podczas gdy za granicą są to dziedziny, jak można sądzić, nie tylko instytucjonalnie odseparowane, lecz i jak gdyby stroniące od siebie. Czy nie byłaby pożądana jakaś zmiana w tym zakresie?

5. Jaka powinna być rola polonistyki zagranicznej w kontekście obu kultur — krajowej i obcej — w których występuje? Czy należy coś zmienić w istniejącym modelu stosunków między środowiskami polonistyczno-slawistycznymi w kraju i za granicą? Dążyć do integracji? Osobno „robić swaje”?

(r. n.)

Profesor Stanisław Barańczak, Harvard University

Choć wykłady i seminaria z literatury polskiej na uniwersytecie amerykańskim prowadzę już ponad dziesięć lat, nie przestaje mnie zdumiewać, jak bardzo nasze, polskie, wyobrażenia na temat wzajemnej relacji literatury rosyjskiej i literatury polskiej różnią się z amerykańskimi wyobrażeniami na ten sam temat. A mówiąc „amerykańskie wyobrażenia”, mam właściwie na myśli nie tyle opinie przeciętnego Amerykanina (ten bowiem o samym istnieniu czegoś takiego jak polska literatura, a już zwłaszcza o tym, że jest ona całkiem ciekawa, może w ogóle nie mieć pojęcia), ile przekonania zakotwiczone w mózgu kogoś, kto z racji swego zawodowego przygotowania powinien być zorientowany stosunkowo najlepiej: typowego amerykańskiego slawisty. Przekonania te zaś poznać można najlepiej nie wtedy, kiedy zapytujemy wprost o zdanie kolegi z wydziału, ale wtedy, gdy spoglądamy na fakty — fakty, które w przeciwieństwie do uprzedniego uniwersyteckiego kolegi przemówią do nas brutalnie, niedwuznacznie i bez wykrętów.

Takim faktem jest przede wszystkim to, że „rusycystyczny imperializm”, widoczny od lat na najlepszych nawet wydziałach języków i literatur słowiańskich amerykańskich szkół wyższych, jest już w tej chwili zjawiskiem nie tylko powszechnym i traktowanym jako naturalne, ale stale się umacniającym na zdobytych już terytoriach i podbijającym obszary coraz to nowe. I fakt drugi, jeszcze okrutniej otrzeźwiający: ta ekspansywna dynamika rusycystycznego imperium (w pewnym sensie istotnie stanowiąca naturalny skutek jego istnienia: imperium, którego ekspansja ustaje, nie spełnia definicji imperium, zdradza własną słabość, ośmiela swoich rywali i rychło się rozpada) od dłuższego już czasu znajduje uzewnętrzzenie i zarazem oparcie w pewnych formach instytucjonalnych. Mam na myśli sprawy tak oczywiste i gołym okiem widoczne, jak choćby typowa struktura programu przed- i podyplomowych studiów slawistycznych albo — będące bezpośrednim tej struktury odbiciem — typowe proporcje poszczególnych słowiańskich specjalizacji w obrębie ciała profesorskiego typowego amerykańskiego wydziału slawistycznego. Nie potrafię powiedzieć, czy jest w tej chwili w USA choć jeden uniwersytet (o college'ach, oferujących z zasady wyłącznie rusycystykę, nawet nie wspominam)¹, którego wydział slawistyczny mógłby się poszczycić posiadaniem kompletu specjalistów nierusycystów, zdolnych do fachowego i odpowiedzialnego wykształcenia studenta jeśli nie w zakresie wszystkich nierosyjskich języków i literatur słowiańskich, to przynajmniej pięciu—sześciu najistotniejszych spośród nich. Może się mylę, ale z taką optymalną sytuacją nie można się spotkać chyba nigdzie. Regułą jest, jak się wydaje, że takich specjalistów (mówię w tej chwili o *senior faculty*, złożonym z tzw. pełnych profesorów zatrudnionych na uczelni na stałe) jest na wydziale w najlepszym wypadku trzech—czterech: jeśli już jest polonista, ukrainista i, powiedzmy, bułgarysta, to nie ma bohemisty i jugoslawisty itd., itd.

Przyczyną jest oczywiście przede wszystkim brak funduszy na utrzymanie zbyt wielu wąskich specjalizacji, którym w poszczególnych latach akademickich może się przydarzyć, że nie zainteresuje się nimi ani jeden student. Jednocześnie wszakże niezmiernie rzadko trafia się sytuacja, w której funduszy zabrakłoby na któryś z etatów rusycystycznych — choć rusycystów (zazwyczaj wąsko wyspecjalizowanych i prowadzących zajęcia skoncentrowane na jednej epoce, gatunku literackim czy

¹ W amerykańskim systemie szkolnictwa wyższego college oferuje program czterech lat studiów zakończonych uzyskaniem tytułu (w dziedzinach humanistycznych) *Bachelor of Arts*, uniwersytet natomiast — analogiczny typ studiów (*undergraduate program*) oraz dodatkowo studia podyplomowe (*graduate program*) wiodące do uzyskania tytułu *Master of Arts* i ewentualnie doktoratu.

nawet autorze) jest zwykle na wydziale więcej niż wszystkich nierusycystów razem wziętych.

Prawda, że przedmioty rusycystyczne przyciągają nieporównanie więcej studentów niż nawet najpopularniejsze wykłady czy seminaria z dziedziny literatury środkowoeuropejskich. Ale tu właśnie nasz palec wskazujący trafia wreszcie na problem, który należało wskazać na samym początku. Mamy mianowicie do czynienia z klasycznym przypadkiem sprzężenia zwrotnego, które można by też określić jako *perpetuum mobile*, a chyba najtrafniej jako *circulus vitiosus*. Tylko w pewnej mierze bowiem popularność specjalizacji rusycystycznej wśród studentów jest przyczyną przewagi liczebnej profesorów–rusycystów. W takiej samej, jeśli nie większej mierze, jest również skutkiem faktu, że proporcja rusycystów w obrębie amerykańskiej slawistyki jest tak wysoka. Inaczej mówiąc: błędne koło polega na tym, że aby zaspokoić edukacyjne potrzeby dużej liczby decydujących się na kierunek rusycystyczny studentów, tworzy się odpowiednio dużą liczbę etatów dla profesorów–rusycystów; ponieważ zaś na danym wydziale liczba etatów nie może rosnąć w nieskończoność, dodanie do ciała profesorskiego kolejnego rusycysty jest zwykle równoznaczne z ubyciem z tegoż ciała jakiegoś polonisty czy bohemisty, ponieważ z kolei ten fakt powoduje, że atrakcyjnych przez swoją liczebność i różnorodność wykładów i zajęć z filologii rosyjskiej wydział oferuje studentom coraz więcej, natomiast analogicznie atrakcyjnych wykładów i zajęć z „pomniejszych” (*minor* — sprawiedliwiej byłoby tłumaczyć to słowo jako „pomniejszych”) filologii nierosyjskich coraz mniej — w nieunikniony sposób rośnie liczba studentów wybierających specjalizację rusycystyczną; ponieważ zaś liczba studentów wybierających rusycystykę rośnie — w tym momencie zatoczyliśmy już pełne koło i wracamy do punktu wyjścia — pojawia się konieczność zatrudnienia nowych profesorów–rusycystów. I tak dalej, i tak dalej.

Sformułujmy tę prawidłowość jeszcze inaczej, tym razem — patrząc na sprawę z punktu widzenia typowej kariery młodego amerykańskiego slawisty. Gdyby na podstawie większej liczby jednostkowych przypadków stworzyć statystyczny ekstrakt takiej kariery, wyglądałby on prawdopodobnie następująco: uczniowi w ostatniej klasie szkoły średniej wpada przypadkiem w ręce *Wojna i pokój* albo *Zbrodnia i kara* w przekładzie angielskim. Miłość od pierwszego wejrzenia, tajemnicza literatura wielkiego narodu gnieźdzącego się w śniegach zalegających drugą półkulę rodzi w młodym człowieku taką zachłanną fascynację, że po dostaniu się do dobrego college'u i przebrnięciu przez pierwszy rok studiów decyduje się — ku rozpaczyc rodziców, którzy za swoje 80 000 \$ chcieliby chlubić się dzieckiem–lekarzem, prawnikiem lub w ostatecz-

ności fizykiem jądrowym — na kierunek rusycystyczny. Po trzech latach wgrzyzania się w cyrylicę i uzyskaniu dyplomu młody człowiek postanawia (nowy atak rozpaczy rodziców, którzy ostatecznie pogodziliby się z losem, gdyby ich dziecko przyjęło w tym momencie pracę przynajmniej w jakiejś solidnej instytucji rządowej): zostanie sam profesorem rusycystyki. Składa podanie na studia podyplomowe na którymś z wielkich uniwersytetów, zostaje przyjęty, przez jakiś czas wgrzyza się dalej w cyrylicę. Prędzej czy później jednak musi się oderwać na chwilę od ukochanego Turgieniewa czy Bunina, aby poświęcić trochę uwagi uciążliwej konieczności zaliczenia któregoś z „pomniejszych” języków i literatur słowiańskich.

I tu zdarza się — nie zawsze, ale jednak zastanawiająco często — coś nieoczekiwanego. Nasz młody człowiek, zabierając się markotnie do lektury jakiegoś umieszczonego w spisie reprezentanta „pomniejszej” literatury — powiedzmy, że autorem tym jest nikomu nie znany prozaik o trudnym do zapamiętania nazwisku Witold Gombrowicz — odkrywa po paru stronicach kolejny nowy świat. Bywa, że wstrząs spowodowany tym odkryciem wytrąca studenta z kolein jego tak planowo dotąd realizowanej kariery i popycha w jeszcze inną stronę: Gonczarow nagle wydaje się mniej ciekawy od Gombrowicza, Sołogub traci w zestawieniu z Schulzem, uroki Niekrasowa mimo wszystko bledną przy Norwidzie; *minor* przeobraża się w *major* i odwrotnie, przynajmniej w wewnętrznym odczuciu nieszczęsnego młodego człowieka. Bo jednak nasz *graduate student*, choć dotąd tak lekkomyślnie kierował się odruchami serca, jest już w tym momencie odrobinę dojrzały i rozsądniej myśli o przyszłości. Rzucając co pewien czas okiem na listę wakujących posad akademickich publikowaną w profesjonalnych biuletynach, widzi z rosnącym przygnębieniem, że wszystkim uczelniom od Kalifornii do Connecticut potrzeba rusycystów; nigdzie nie poszukuje się polonisty. Więc cóż: zmienić *major*, napisać pracę doktorską nie o Hercenie, ale o Herbercie, i za tę przyjemność zapłacić bezrobociem?

Zmierzam do tego, że imperium radzieckie wreszcie się rozpadło, ale długo jeszcze potrwa, zanim rozpadnie się imperium rusycystyczne. Łatwo zrozumieć powody, dla których właśnie w Ameryce mocarstwowa rola, do jakiej pretendował przez długie dziesięciolecia były Związek Radziecki, spowodowała nieproporcjonalny wzrost nakładów na prace badawcze i działalność dydaktyczną związaną z Rosją, jej historią, terażniejszością, językiem i kulturą. Szanujący się mistrz szachowy przygląda się posunięciom wykonywanym przez przeciwnika (podobno też mistrza, choć dyplomu nikt nie widział), a nie traci czasu na zerkanie pod stolik, gdzie jakieś przeprowadzone przez mistrza dzieci rozgrywają swoje prywatne partie warcabów. Ostatnio jednak przeciwnik, grając

coraz bardziej nieudolnie i tetryczając w oczach, poddał ostatecznie partię, a dzieci tymczasem podrosły i się usamodzielnily. Czy znaczy to, że szachista zacznie je wreszcie traktować poważniej i zaprosi do gry? Nie jestem tego taki pewien. Szachista po tak długiej partii ma, być może, po prostu dość szachów na jakiś czas i pragnie zająć się własnymi sprawami. No i jest jeszcze stolik z szachownicą, czyli cała instytucjonalna baza dotychczasowej amerykańskiej gry w poznanie Rosji. Szachownica jest mianowicie tak masywna, że bardzo trudno ją usunąć i zastąpić jakąś polską, czy czeską, czy ukraińską planszą do warcabów: co w ramach mojej homeryckiej metafory oznacza, że hegemonia zinstytucjonalizowana w postaci określonej struktury akademicko-badawczej jest znacznie trwalsza niż hegemonia politycznego mocarstwa. Ostatecznie, chodzi tu o sprawy znacznie poważniejsze niż ideologia i czołgi: o zajmowane posady i pobierane wynagrodzenia.

Dla polonistyki w Stanach Zjednoczonych istnieją dwa wyjścia czy też dwie możliwości stopniowej zmiany tej sytuacji. Nie są to możliwości alternatywne, ale raczej, przeciwnie, dwie formy działania ściśle ze sobą powiązane: gdy zabraknie jednej z nich, druga zawisa w próżni i poniekąd traci sens. Możliwość (a właściwie konieczność) pierwsza to fundowanie stałych *chairs* (jednoosobowych katedr) języka i literatury polskiej (a równolegle także historii Polski itp.) na najważniejszych, najbardziej liczących się w życiu intelektualnym Ameryki uniwersytetach. *A funded chair* (albo *an endowed chair*) to jedyna forma instytucjonalnego zabezpieczenia trwałości istnienia polonistyki na danej uczelni: ponieważ darowizna złożona na rzecz uniwersytetu przeznaczona jest na ściśle określony cel (uniwersytet decyduje o obsadzie „fundowanej katedry”, nie wolno mu jednak donacji przeznaczonej na utworzenie katedry np. polonistycznej obrócić na utworzenie katedry np. rusycystycznej), jest to skuteczny sposób korygowania samonapędzającej się dynamiki rozrostu pewnych dyscyplin przez podtrzymywanie istnienia tych dyscyplin, których wewnątrzuniwersytecka pozycja jest słabsza i które, gdyby nie wsparcie z zewnątrz, pierwsze padłyby ofiarą cięć budżetowych. Do tego celu potrzebna jest drobnostka, a mianowicie pieniądze. Ile? W gruncie rzeczy nie tak dużo: kapitał wystarczający na stworzenie i permanentne utrzymywanie (z odsetek) jednej katedry polonistycznej to obecnie jakieś półtora miliona dolarów. Jeśli uprzytomnić sobie, ile milionów Polaków lub osób polskiego pochodzenia mieszka w samych Stanach Zjednoczonych, można poczuć zażenowanie na myśl o tym, że w USA istnieje jedna (dokładnie jedna) „fundowana katedra” polonistyczna, utworzona 30 lat temu dzięki darowiźnie pochodzącej nawet nie od społeczności polonijnej, ale od jednostki (Alfreda Jurzykowskiego). W obecnym momencie historycznym stało się również politycznie (jeśli

nie budżetowo) możliwe, aby ewentualna akcja Polonii spotkała się ze współdziałaniem rządu Rzeczypospolitej, czy nawet aby rząd sam fundował *endowed chairs* historii Polski czy filologii polskiej. Osobom pukającym się w tej chwili w czoło („Skąd wziąć tyle pieniędzy?”) odpowiem prosto: każdy taki wydatek stanowi w sposób wręcz gwarantowany inwestycję, z której zyski dla Polski — przede wszystkim te finansowo niewymierne, ale po pewnym czasie i płynące z nich pośrednio efekty materialne — wielokrotnie przewyższą poniesione koszty.

Aby tak się jednak stało, trzeba korzystać na możliwie szeroką skalę z możliwości (i konieczności) drugiej, która żąda od nas nie tyle wkładów finansowych (choć bez pewnych wydatków i tu niestety się nie obejdzie), ile wkładu pracy, energii, inicjatywy i uporu. Mam na myśli możliwość podnoszenia prestiżu literatury i kultury polskiej w amerykańskim życiu umysłowym — czynienia z nich po prostu a t r a k c j i, zdolnych do przyciągnięcia i zainteresowania liczniejszej społeczności odbiorców, a wśród nich również przyszłych studentów, którzy z kolei powiększą armię badaczy i popularyzatorów tych dziedzin. Aby rzecz stała się atrakcyjna, musi być przede wszystkim dostępna. Jasne więc, że, gdy o literaturę chodzi, rola absolutnie pierwszorzędna przypada tu przekładom. Tak się składa, że w USA akurat ostatnie dziesięciolecie było pod względem pojawiania się nowych przekładów literatury polskiej — i wyrastania nowych, godnych nieraz najwyższego uznania, tłumaczy — okresem ogromnie podnoszącym na duchu. Nastąpił tu skok ilościowy i jakościowy, który zwiastuje coś wyraźnie nowego. Jeśli powiem, że dopiero od kilku lat dostępny jest po angielsku *Dziennik Gombrowicza*, *Mój wiek* Wata, *Pamiętnik z powstania warszawskiego* Białoszewskiego, prawdziwie reprezentatywny zbiór wierszy Miłosza itd., itd., łatwo będzie sobie przedstawić, jak kiepskie były jeszcze w latach siedemdziesiątych widoki na to, aby kogokolwiek w Ameryce zainteresować poważnie literaturą polską. Ofiarni tłumacze i odważni wydawcy zrobili w tej dziedzinie już bardzo wiele, ale wciąż jeszcze to nie dosyć — bo też tego rodzaju tłumaczy i tego rodzaju wydawców jest stale za mało, aby zapełnić wciąż istniejące i w wielu wypadkach doprawdy kompromitujące luki.

I znów trzeba tu dostrzec pierwszorzędne znaczenie uniwersyteckiej polonistyki. Będzie ona tym atrakcyjniejsza, im więcej będzie dobrych przekładów wybitnych dzieł polskiej literatury; ale zarazem liczebność tych przekładów zależy całkiem bezpośrednio od działalności każdego uniwersyteckiego polonisty. (Nie od samej tej działalności oczywiście: jak wspomniałem, i w tej dziedzinie potrzebne są pewne nakłady finansowe, stosunkowo zresztą niewielkie. Ponieważ dla amerykańskiego wydawcy opublikowanie książki polskiego autora jest z reguły

poważnym ryzykiem finansowym, stara się on to ryzyko zminimalizować ograniczając koszty własne, to znaczy m.in. płacąc żałośnie małe honorarium tłumaczowi. Gdyby choć kilkoro najlepszych tłumaczy literatury polskiej w USA mogło od czasu do czasu otrzymywać doraźne stypendia, pozwalające na skupienie się przez kilka miesięcy w roku na pracy nad przekładem określonego dzieła, ta nieduża inwestycja opłaciłaby się polskiej kulturze stokrotnie. Nie tylko w tym sensie, że polonista sam może parać się tłumaczeniem (co wymaga, obok talentu i profesjonalnych kwalifikacji, również znacznych poświęceń: przekłady praktycznie nie liczą się jako publikacje w *dossier* naukowca, praca nad nimi nie pomaga więc, a poniekąd nawet przeszkadza w robieniu uniwersyteckiej kariery), ale przede wszystkim w tym, że do niego należy wychowywanie nowych tłumaczy (w istocie, niemal wszyscy liczący się tłumacze literatury polskiej działający obecnie w Stanach Zjednoczonych są wychowankami Czesława Miłosza, Wiktora Weintera i innych polonistów). Przez „wychowywanie” rozumiem tu nie tylko uczenie, wpajanie podstawowych wiadomości i umiejętności, ale również zjednywanie co zdolniejszych studentów do samego pomysłu wykonywania praco- i czasochłonnej oraz nieopłacalnej w sensie materialno-finansowym funkcji tłumacza. Wyrzuty sumienia, które nas przy tym mogą nękać — że niby utrudniamy młodemu człowiekowi normalną karierę, zmuszając go do poświęcania weekendów na ślęczenie nad tłumaczeniami wierszy Szymborskiej zamiast nad dysertacją o życiu i twórczości Zinaidy Gippius — może złagodzić nie tylko poczucie tzw. wyższej racji, które za nami stoi, ale i trzeźwa świadomość, że kto zajmuje się w USA literaturą polską, ten i tak jest najwyraźniej człowiekiem sympatycznym, ale z lekką szalonym. Rzecz tylko w tym, aby w tym naszym wspólnym szaleństwie była metoda.

Profesor Daniel Beauvois, kierownik Centre d'Études de la Culture Polonaise, Université Charles de Gaulle, Lille III

Kwestionariusz w sprawie studiów polonistycznych za granicą wywołał u nas wielkie zainteresowanie. Pozwalam sobie streścić i zsyntetyzować odpowiedzi moich siedmiu kolegów, odpowiadając na kolejne pytania.

1. Polonistyka w Lille nie jest wcale uważana za przybudówkę rusycystyki. Posiada mniej więcej tę samą liczbę studentów (150) i ma nawet więcej wykładowców (8) niż rusycyści. Prowadzi ona badania naukowe w ramach tzw. Ośrodka Badań nad Kulturą Polską, oficjalnie uznanego

przez francuskie Ministerstwo Edukacji Narodowej jako jedyny tego typu we Francji (archiwum, biblioteka 20 tys. woluminów, odczyty, sesje naukowe, publikacje) — czym rusycystyka w Lille nie dysponuje. Owszem, nie zawsze tak było. Taka, stosunkowo dobra, sytuacja jest wynikiem długiej i upartej pracy kolejnych szefów katedry. Walka o umocnienie polonistyki w Lille trwała od utworzenia lektoratu w roku 1923 przez Antoniego Martela, poprzez niezmordowane ulepszanie tej placówki przed i po wojnie przez M. Hermana, W. Godlewskiego, E. Marka, aż do uzyskania przeze mnie profesury w roku 1978. Jeszcze wtedy docent prowadzący rusycystykę próbował mi narzucić obwarowane tradycją pierwszeństwo swego przedmiotu w naszym wydziale języków obcych, oświadczając przez telefon, że wszelka próba z mojej strony, by się uniezależnić, będzie „walką garnka glinianego przeciwko żelaznemu”, na co odłożyłem słuchawkę i przerwałem rozmowę. Następnego dnia przeproszał mnie i od 12 lat nie ma żadnych sporów między nami.

Taka samodzielność stała się możliwa tylko dlatego, że wywalczyliśmy sobie prawo do nadawania wszystkich stopni naukowych. Polski jest więc uznawany na równych prawach z angielskim czy hiszpańskim. Licencjat, magisterium czy doktorat polonistyczny otwierają te same możliwości awansu, co inne przedmioty. Są to po prostu części składowe studiów humanistycznych, czego nie można powiedzieć o lektoratach istniejących na innych uniwersytetach francuskich, gdzie nie nadaje się żadnych stopni, bo lekcje w nich rzadko przekraczają poziom początkowy. Natomiast Paryż i Nancy mają te same prawa co Lille.

Nie widzę potrzeby powoływania się na polityczną sytuację w ZSRR. Nawet po ewentualnym rozpadzie imperium Rosja będzie dalej potęgą. Niech poloniści robią swoje z godnością i bez kompleksów. Dodam, że znajomość kultury rosyjskiej jest bardzo ważnym elementem dla zrozumienia kultury polskiej, na równi z innymi sąsiednimi kulturami: germańską czy słowiańskimi. Zawsze radzę studentom, żeby się nie ograniczali tylko do studiów nad kulturą polską, jeżeli chcą być prawdziwymi Europejczykami...

2. Szukanie studentów na podstawie przesłanek samej atrakcyjności tej czy innej literatury jest stanowiskiem raczej dyskusyjnym. Stawianie literatury na pierwszym miejscu wśród walorów ogólnokulturalnych tchnie chyba megalomanią lub imperializmem literaturoznawczym. Wybór polonistyki jako kierunku studiów na Zachodzie w bardzo słabej mierze zależy od walorów czy treści literatury. U nas pobudki do takiej decyzji są (prócz wyjątków) dwojakiej natury: najłabsi uczniowie, nie mający szans w żadnym instytucie, ale będący pochodzenia polskiego, próbują szczęścia na polonistyce (gdyż nie ma egzaminu wstępnego),

skąd odpadają bardzo szybko. Ostatnie lata są znacznie luźniejsze od pierwszych. Drugą grupę stanowią absolwenci liceów francuskich, gdzie język polski jest oficjalnie wykładany (jest ich niestety tylko sześć w całej Francji) oraz zdolne młode mężatki lub panny już po studiach (lub części studiów) w Polsce, dla których odbycie studiów na nowo jest sposobem na integrację w społeczeństwie francuskim.

Drobniutki odsetek rodowitych Francuzów, wybierających polonistykę z prawdziwego upodobania (w takiej sytuacji byłem i ja 25 lat temu, po studiach rusycystycznych), ulega ogólnemu czarowi kultury polskiej: może literatury, ale i sztuk pięknych, filmu, muzyki, urokowi ludzi, pejzaży, historycznych związków, no i czystemu przypadkowi (poznanie małżonka, przyjaciół, wpływ jakiegoś profesora). Dopiero po studiach (po 3–4 latach) studenci urodzeni we Francji są w stanie przeczytać polską książkę od początku do końca. Uniwersytet przygotowuje do odpowiedniego podejścia do literatury, ale przede wszystkim dba o poprawność językową, o wykształcenie językoznawcze, filologiczne. Dbą również o zdobycie dobrej wiedzy historycznej o Polsce, na co osobiście kładę szczególny nacisk, nie sądzę bowiem, by literatura była koniecznym najlepszym odzwierciedleniem kultury. Najważniejszym celem polonistyki jest przygotowanie dobrych nauczycieli do szkół średnich, dobrych tłumaczy, dobrych działaczy społecznych. Rola fikcji literackiej zatem nie wydaje mi się ważniejsza niż poznanie realiów i procesów historyczno-społecznych. Poznanie piękna poezji jest niezbędne, ale znajomość negatywnych zjawisk politycznych także.

Literatura polska, tak jak i inne zresztą, daje „człowiekowi Zachodu”, owszem, wiele przeżyć estetycznych, przemyśleń filozoficznych, daje obraz bardzo odrębnej (czasami zbyt odrębnej i zbyt spolityzowanej) rzeczywistości, budzi podziw lub odrazę, ale o ile jest dostępna w tłumaczeniach. Dotyczy to więc zupełnie innego problemu, mianowicie rynku wydawniczego (prywatnego oczywiście, bo nie ma innego), ilości tłumaczeń i ogólnego poziomu czytelnictwa we Francji. Faktem jest, że od dwudziestu lat część najlepszych absolwentów polonistyk francuskich przyczyniła się do znacznego rozszerzenia znajomości dzieł polskich w tłumaczeniach francuskich. Nigdy chyba Francja nie miała tylu dobrych tłumaczy.

3. Nasz ośmioosobowy zespół wykładowczy prowadzi zajęcia z wymienionych dziedzin, ma również wykłady z literatury polskiej po francusku dla specjalistów literatury francuskiej czy porównawczej, jak i z historii Polski dla historyków. Motywacja negatywna studentów to nadzieja (staramy się, by była iluzoryczna) na łatwy egzamin. Motywacja pozytywna to chęć poznania współczesnego życia w tak modnej ostatnimi czasy Europie Środkowowschodniej. Jeżeli chodzi o literaturę, powo-

dzeniem cieszą się wykłady monograficzne oparte na wnikliwej analizie współczesnych tekstów już tłumaczonych. Koncentracja na tekście jest lepiej widziana niż roztrząsania teoretyczne, przy czym nie unika się, rzecz jasna, refleksji stylistycznej. Studentom francuskim, o specjalności innej niż polski, nie są obce prace Tynianowa, Jakobsona, Derridy, Deleuze'a, Foucaulta, Ingardena, toteż z nimi rozmawia się bardzo przyjemnie, chociaż nie można liczyć na to, że ich zainteresowania staną się kiedykolwiek wyłącznie polskimi. Tym niemniej, dzięki nim jest nadzieja na to, by literatura polska zdobyła większe uznanie.

4. Z wyżej przedstawionych poglądów wynika, że nie ma u nas odseparowania literatury od teorii. Nie ulega wątpliwości, że wymagany poziom teoretyzowania nie osiąga stopnia, jaki się marzy IBL-owskim specjalistom (ale czy jest on osiągalny w kraju?). Nasz student z najwyższym trudem opanowuje materiał leksykalny, historycznoliteracki i językoznawczy, wydaje się zatem, że podstawowy zasób wiedzy teoretycznoliterackiej na poziomie *Zarysu teorii literatury* Głowińskiego, Okopień-Sławińskiej i Sławińskiego jest absolutnie górnym pułapem tego, co da się zrobić. Wymagania są natomiast znacznie wyższe po magisterium, dla kandydatów do ogólnofrancuskiego konkursu *agrégation*. Wydaje mi się, że wszechstronne przygotowanie naszych nauczycieli *agregés* z polskiego jest nieporównywalnie wyższe od poziomu przeciętnego polonisty krajowego. Zresztą nasze umowy międzyuczelniane z Krakowem i Wrocławiem zapewniają naszemu uniwersytetowi długoterminową współpracę z bardzo dobrze przygotowanymi pracownikami, jakimi są w kadencji obecnej, doktorzy habilitowani S. Bereś (Wrocław) i S. Ożóg (Kraków) oraz doktorzy J. Barczyński i M. Tomaszewski (Wrocław).

5. Działalność naszego ośrodka świadczy o tym, że nie „robimy osobno swojego”, że mamy rozległe kontakty z krajem. Samo stawianie takiego pytania trochę trąci chęcią narzucenia patronatu zacofanej polonistyce zagranicznej. Nie całkiem rozumiejąc, zwróciłem się do kolegów Polaków pracujących u nas, by wytłumaczyli mi, o co chodzi. Oto jakiej odpowiedzi mi udzielili:

Poloniści w kraju nie są w stanie zrozumieć zasadniczej odmienności sytuacji, roli i pozycji polonistyki na Zachodzie. Zamiast ją porównywać z pozycją, poziomem i możliwościami np. romanistyki lub anglistyki w kraju, porównują ją stale z polonistyką krajową. Ich wyobrażenie studenta francuskiego, amerykańskiego, angielskiego i włoskiego jest przeniesieniem modelu studenta polskiego w warunki zachodnie. Jakikolwiek tłumaczenia zdają się kompletnie jałowe, gdyż uważają oni, że całą krajową aparaturę polonistyczną (czytaj: naukową, dydaktyczną) można przeszczepić, przerzucić desantem wraz z uczonymi na Zachód. Skądinąd taki też sens ukryta ma ta ankieta — jest nim próba wysondowania, jakie techniki krajowe nauczania, jakie specjalności, jakich pracowników (czytaj: teoretyków literatury z IBL-u) da się wyeksportować. Cel to oczywiście zbożny, ale ilekroć się

tłumaczy w kraju, że tak naprawdę cały wysiłek pracy polonistycznej za granicą musi być skierowany na żmudne, oddolne (!) prace nad podstawami języka, zawsze napotyka się niedowierzanie. Wciąż nad tą całą kwestią unosi się mit zachodniego „kontraktu” naukowego, wyobrażenia porównywalnego poziomu nauczania i poziomu studentów, brak gotowości do zniesienia się do „pracy u podstaw”, do mało efektywnej „orki” na glebie wcześniej nie uprawianej, ze studentami nie mającymi za sobą dwudziestu lat nauki języka i najwykleszego wrośnięcia w cywilizację polską.

Może jest trochę przesady w tej opinii, gdyż jej autorzy sami dają świadectwo temu, że naukowiec polski potrafi się dostosować do naszych warunków. Prawdę mówiąc, moje własne badania też nie są znane moim studentom. Jest przepaść między tym, co piszę, a tym, czego uczę. Niestety. Sami ci koledzy są jednak uosobieniem tej absolutnie niezbędnej współpracy z krajem. O integracji nie może jednak być mowy, gdyż dążenia francuskiego systemu są odmienne od polskich, ale wszyscy uważamy — używając wielkich słów — że nasza lillska polonistyka jest rzeczywiście placówką polskości, ambasadorem polskiej kultury. Sam fakt jej istnienia od siedemdziesięciu lat jest chyba bardzo znaczący dla obecności Polski w naszym kraju.

Niech więc polonistyka krajowa wspiera nasze skromne wysiłki, sygnalizując nam największe osiągnięcia literackie i naukowe, wysyłając książki itp. My zaś możemy z naszej strony służyć informacjami co do upodobań czytelników francuskich, tak aby polonistyka krajowa częściej wychodziła ze swego zamkniętego kręgu i bardziej wpisywała się w nurty kultury europejskiej.

Profesor Bogdana Carpenter, kierownik katedry slawistyki, University of Michigan, Ann Arbor

1. Twierdzenie, że „wydziały slawistyki zostały zdominowane przez... rusycystyczny imperializm”, nie całkiem pokrywa się z prawdą, ponieważ wydziały te zawsze były zdominowane przez rusycystykę. Sytuacja obecna nie jest więc wyłącznie wynikiem sytuacji politycznej, choć taka współzależność niewątpliwie istnieje. Zaryzykowałabym natomiast twierdzenie, że dotychczasowa sytuacja polityczna była na korzyść slawistyki i że rozpad komunistycznego „imperium politycznego” tej sytuacji nie polepszy, a wręcz odwrotnie, może pogorszyć. Języki słowiańskie są dla studentów amerykańskich bardzo trudne. Jeśli odpadnie motywacja polityczna (a fascynacja komunizmem nie ograniczała się do Związku Sowieckiego, ale obejmowała także kraje satelickie), jest duże prawdopodobieństwo, że już i tak mała grupa zainteresowanych skurczy się jeszcze bardziej. Współzależność slawistyki i polityki jest sprawą o tyle skomplikowaną, że dużą rolę odgrywa tu

element ekonomiczny. Najlepszym przykładem są liczne ośrodki do spraw rosyjskich i wschodnioeuropejskich (Centers for Russian and East European Studies) funkcjonujące na wielu uniwersytetach. Ośrodki te powstały w wyniku konkretnej sytuacji politycznej, w okresie „zimnej wojny”, z dotacji federalnych, które nadal stanowią pokaźny procent ich budżetu. Z tych funduszy korzystają między innymi wydziały slawistyczne. Są one też głównym źródłem stypendiów dla magistrantów i doktorantów, a stypendia bywają z kolei istotną determinantą w wyborze pola specjalizacji. Do pewnego stopnia więc los slawistyki jest zależny od politycznych decyzji rządu federalnego. Z punktu widzenia administracji uniwersyteckiej, która często kieruje się kryteriami ekonomicznymi, slawistyka jest wydziałem deficytowym, a więc drugo- lub trzeciorzędny.

2. Literatura polska jest niewątpliwie i ciekawa, i atrakcyjna, i tak odbierają ją ci nieliczni studenci amerykańscy, którzy mają szansę się z nią zapoznać. Jedną z głównych trudności wykładowcy polskiej literatury w krajach anglosaskich jest skąpa ilość i często nieadekwatna jakość tłumaczeń, szczególnie literatury staropolskiej i dziewiętnastowiecznej. Myślę jednak (wbrew powszechnej opinii amerykańskich polonistów), że narzekania na małą liczbę studentów na polonistyce są niesłuszne i najczęściej szkodliwe dla sprawy. W porównaniu z literaturami innych krajów Europy Środkowej, a także z literaturą np. krajów skandynawskich, polonistyka ma w Stanach pozycję uprzywilejowaną.

3. Literaturę polską wykładałam od siedemnastu lat, najpierw na uniwersytecie stanu Washington w Seattle, a od ośmiu lat na uniwersytecie stanu Michigan w Ann Arbor. Bazę stanowią wykłady z historii i literatury rozłożone na dwa semestry. Pierwszy semestr obejmuje literaturę polską do romantyzmu włącznie, drugi jest poświęcony okresowi pozytywizmu do dnia dzisiejszego. Mniej więcej połowę studentów na tych zajęciach stanowią słuchacze slawistyki, magistranci i doktoranci rusycystyki, których obowiązuje znajomość dodatkowego języka i literatury słowiańskiej; może to być czeski, serbsko-chorwacki, może być i polski. Drugą liczną grupę stanowią studenci pochodzenia polskiego, którzy najczęściej nic ze slawistiką nie mają wspólnego. Bywają też studenci „z przypadku”: przychodzą, bo zajęcia polecił im kolega lub opis w katalogu poruszył wyobraźnię. Przeważająca większość studentów nie jest zainteresowana sprawami teoretycznoliterackimi, interesują ich najbardziej powiązania literatury z historią i polityką, reagują też silnie na teksty o dużej sile wyobraźni, na poezję Leśmiana (mimo że istnieje tylko garstka tłumaczy), na prozę Schulza i Gombrowicza, na dramaty Witkacego. Spośród moich zajęć największym powodzeniem cieszą się

od lat zajęcia ze współczesnego dramatu Europy Środkowej (z autorów polskich: Witkacy, Różewicz, Mrozek), które prowadzę na wydziale komparatystyki. Także wykłady o współczesnej powieści europejskiej, gdzie literaturę polską reprezentują przede wszystkim Schulz i Gombrowicz. Bardzo natomiast trudno zwerbować studentów na zajęcia z poezji, choć duże sukcesy odnoszę „szmuglując” wiersze na zajęciach poświęconych powieści i dramatom, a także historii, polityce i ekonomii.

4. Na uniwersytetach amerykańskich teoria literatury jest instytucjonalnie powiązana z wydziałami komparatystyki, które na przestrzeni ostatnich piętnastu lat przekształciły się często w wydziały teorii literatury, tracąc niejednokrotnie swój pierwotny element komparatystyczny. Na wydziałach tych można ostatnio zaobserwować negatywną reakcję studentów na przerost elementu teoretycznego. W zeszłym roku studenci komparatystyki na moim uniwersytecie złożyli petycję prosząc o większą ilość zajęć z „literatury”. Z mojego doświadczenia polonistycznego wynika, że zwiększenie dozy teorii odstraszy już i tak szczupłą garstkę studentów.

5. Rola polonistyki na Zachodzie w istocie różni się od roli polonistyki w kraju, jest mniej teoretycznie ukierunkowana, bywa bliska misjonarstwu. Nie znaczy to jednak, że współpraca jest niemożliwa. Wręcz odwrotnie, bliższa współpraca między polonistyką w kraju i na Zachodzie ma szansę otwarcia nowych perspektyw, i to zarówno naukowych, jak i pedagogicznych.

Profesor Maria Delaperriere, dyrektor sekcji polonistyki w INALCO (Institut National des Langues et Civilisations Orientales), Paryż

Fascynacja Rosją ma we Francji swoją długą tradycję. Jej początki sięgają co najmniej do XIX wieku, kiedy to literatura rosyjska zaimponowała Zachodowi połączeniem swoistej egzotyki (a więc odmienności) i uniwersalności. Do grona tak zwanych autorów „uniwersalnych” weszło już bez trudu wielu pisarzy rosyjskich (Dostojewski, Gogol, Tołstoj, Gorki...), podczas gdy literatura polska z wielkim zawsze trudem i zmiennym szczęściem torowała sobie drogę do Europy. Nawet wielki polski romantyzm, mimo doskonałych studiów prof. Fabre’a, nie zajął zasłużonego miejsca we francuskich podręcznikach. Nie mówiąc już o epokach poprzednich: w ostatnich latach na przykład pojawiły się ciekawe studia o baroku europejskim, ale przestrzennie sięgają one w najlepszym razie... Pragi.

Wydaje się, że literatury narzucające swoją uniwersalność rodzą się

w krajach o silnej państwowości i stałych granicach. Dziś przed odzyskującymi autonomię państwami otwiera się duża szansa, którą należy wykorzystać także na uniwersytetach zagranicznych.

Nie znaczy to jednak, że liczba studentów polonistyki zachodniej powiększy się automatycznie. Studenci zachodni bardzo wcześnie zaczynają myśleć o czekającej ich karierze zawodowej i zdają sobie sprawę, że specjalizacja w dziedzinie literatury polskiej niewiele może im zapewnić: tylko najwybitniejsi mogą liczyć na stanowisko na uczelni, ewentualnie w szkolnictwie średnim — tu jednak po przejściu przez niezwykle surowy konkurs agregacji, w ramach którego Francja proponuje absolwentom polonistyki — jedno stanowisko rocznie!

Podstawową trudnością w nauczaniu literatury polskiej za granicą jest oczywiście niewystarczająca znajomość języka. Dlatego wykładowcy nasi przywiązują wielką wagę do pracy na tekstach. Mogłoby się to wydać żmudne, tymczasem wprost przeciwnie: samo oswajanie się z tekstem, przyswajanie sobie najpierw samej materii językowej prowadzi często do ciekawych odkryć i skojarzeń, które mają tym większą wartość, że studenci wolni są od wszelkich z góry narzuconych schematów myślowych.

Analiza tekstów literackich ma we Francji bardzo bogatą tradycję, której punktem wyjścia są właśnie zjawiska językowe (stąd potrzeba odwołań do lingwistyki, semiotyki czy retoryki). Typowa francuska analiza opiera się na poetyce immanentnej, to znaczy, że sam tekst dyktuje metody, które w danym wypadku wydają się najodpowiedniejsze. Trudno więc twierdzić, że teoria literatury i pragmatyczne badania literackie są od siebie odseparowane.

O ile jednak metody strukturalistyczne czy semiotyka stanowią już trwałą wkład lingwistyki do literatury, tendencje ostatnich lat zmiernie raczej w kierunku rehabilitacji historyzmu (który przyciąga nawet dawnych strukturalistów — Todorova czy Kristevą). Zainteresowanie budzi także H. R. Jauss, którego studium o estetyce recepcji zostało niedawno przetłumaczone na francuski. Niemniej w samych badaniach naukowych istnieje rzeczywiście we Francji pewna niezależność wobec teorii, co prowadzi siłą rzeczy do wielkiej dywersyfikacji ujęć krytycznych.

Głównym powołaniem polonistyki zagranicznej jest, jak wiadomo, przygotowanie studentów do pracy zawodowej w różnych dziedzinach, takich jak tłumaczenie, dyplomacja, dziennikarstwo, ewentualnie do pracy naukowej, którą podejmują najczęściej studenci mający już dyplomy z historii lub literatury francuskiej. Przy takich założeniach literatura rozpatrywana jest w szerszej perspektywie cywilizacyjnej, nacisk kładzie się na studia porównawcze.

Ponadto studenci nasi często studiują dwa lub trzy języki wschodnio-

europejskie (a więc niekoniecznie słowiańskie). Warto dodać, że uczelnia, którą reprezentuję, ma po temu wyjątkowo dobre warunki, ponieważ polonistyka podporządkowana jest Departamentowi Europy, w którego skład wchodzi wszystkie kraje Europy Środkowej i Południowej, a także Ukraina, Litwa, Łotwa i Estonia (rusycystyka natomiast stanowi osobny departament). Toteż część seminariów odbywa się pod znakiem pluralizmu, z udziałem specjalistów różnych literatur: dzięki takim konfrontacjom poszczególne literatury naświetlają się wzajemnie i uwalniają tym samym od stereotypów, powstają jakby „modele mediacyjne”, odwołujące się do poszczególnych tradycji kulturowych w oparciu o głębokie poczucie przynależności do jednej i tej samej kultury europejskiej. Z takich przekonań zrodził się w zeszłym roku na naszej uczelni pomysł utworzenia wspólnego dyplomu „języka i literatur zachodniosłowiańskich”, który obejmie studia polskie, czeskie, słowackie i łużyckie.

Ważna jest wymiana oparta na głębokim przekonaniu, że studia polonistyczno-slawistyczne zarówno w kraju, jak i za granicą wpisują się w szerszy kontekst humanizmu europejskiego.

Wiktor Erlich, profesor emerytowany literatur słowiańskich, Yale University, New Haven

1. Obawiam się, że nawet po rozpadzie imperium sowieckiego na równowagę trudno będzie liczyć. Zagrają tu chyba, raz jeszcze, czynniki geopolityczne. Nawet poważnie osłabiony kompleks sowiecki będzie miał większą wagę w polityce międzynarodowej niż Polska czy Czecho-Słowacja. Że obie literatury zasługują na bardziej poczesne miejsce na wydziałach slawistyki niż to, które obecnie zajmują, nie ulega wątpliwości.

2. O ciężarze gatunkowym literatury polskiej niełatwo studenta amerykańskiego przekonać; tłumaczeń, jak wiadomo, jest mało, a dobrych tłumaczeń jeszcze mniej. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że literatura polska niejednego może człowieka Zachodu nauczyć. Literatura polska wieku XIX, zwłaszcza romantyzm polski, to dramatyczna ilustracja centralnej roli poezji w kulturze narodu uciśnionego i zarazem problematyki literatury emigracyjnej. Oczywiście, problem „dwóch literatur”, tak istotny dla literatury rosyjskiej epoki sowieckiej, stoi i przed literaturą polską ostatniego pięćdziesięciolecia, która w swoim wymiarze krajowym naświetla też dylematy pisarstwa pod totalitaryzmem. Inaczej mówiąc, niektóre „implikacje” literatury polskiej wykraczają daleko poza granice Polski, choć niejedno jej arcydzieło, jak np. najlepsza

chyba polska sztuka, *Wesele*, może się wydać cudzoziemcowi zjawiskiem głęboko „lokalnym”, wymagającym cierpliwej i skomplikowanej egzegezy.

3. W ciągu przeszło 35 lat wykładania literatur słowiańskich na uniwersytetach amerykańskich podstawowym moim przedmiotem była literatura rosyjska XIX i XX wieku, ale od czasu do czasu prowadziłem zajęcia z literatury polskiej, ze szczególnym naciskiem na romantyzm. Przy wyborze tego przedmiotu kierowałem się głównie świadomością, że romantyzm polski był jednym z punktów szczytowych w rozwoju literatury, zwłaszcza poezji polskiej. Jeśli chodzi o moich słuchaczy, byli to, z wyjątkiem kilku studentów polonistyki, ludzie specjalizujący się w literaturze rosyjskiej, którzy zdawali sobie sprawę z tego — lub którym zwrócono uwagę na to — że romantyzm polski jest najbogatszym i najświetniejszym z romantyzmów słowiańskich.

4. Zgadzam się, że w Stanach, a chyba w ogóle na Zachodzie, studia polonistyczne rzadko idą w parze ze zgłębianiem problemów teorii literatury. Sądzę, że byłoby wskazane, aby sławiści, prowadzący zajęcia z metodologii badań literackich, raczyli sygnalizować swoim studentom polski wkład w teorię literatury (np. takie pozycje, jak R. Ingarden, F. Siedlecki, najlepsze teksty polskiego literaturoznawstwa powojennego).

5. Nie ulega wątpliwości, że więzy między środowiskami polonistyczno-slawistycznymi w kraju i za granicą powinny być zacieśniane. Jedynym na to sposobem jest zwiększona, a może nawet zinstytucjonalizowana, obecność na uczelniach amerykańskich historyków i teoretyków literatury z Warszawy, Krakowa i innych ośrodków uniwersyteckich w kraju.

Rolf Fieguth, profesor slawistyki we Fryburgu szwajcarskim i Bernie

1. „Przywrócenie równowagi” zdaje się mieć szanse w krajach i na terenach postkomunistycznych w formie usunięcia rosyjskiego jako języka obowiązkowego z wielu szkół średnich i wyższych uczelni. W Niemczech wschodnich projektuje się utworzenie nowej katedry polonistycznej, ewentualnie we Frankfurcie nad Odrą; jest nadzieja, że w gimnazjach przygranicznych język polski będzie odgrywał pewną rolę. Natomiast co do terenów na lewo od Łaby aż do kraju Helwetów godzi się używać formuły Remarque’a: na (starym) Zachodzie bez zmian.

W RFN już od początku lat siedemdziesiątych za sprawą dyskretnych bodźców odgórnych zwiększyła się nieco liczba działań slawistyki

z bardziej wyraźnym elementem polonistycznym, lecz nie widzę, aby obecna sytuacja polityczna doprowadziła do korzystniejszych dla tej domeny warunków.

Zaś w Szwajcarii brakuje ogólnopństwowej koncepcji slawistyki (taką koncepcją natomiast istnieje w Austrii, która stara się o to, aby slawistyka każdego z uniwersytetów miała swoją odrębną specjalność nierusycystyczną). W latach sześćdziesiątych, w okresie najsilniejszego w dotychczasowej historii promieniowania kultury polskiej na Zachód, w slawistyce całej Szwajcarii francuskojęzycznej (na razie poza małutkim Neuchatel) zaniechano jakiejkolwiek działalności polonistycznej. Od tego czasu Genewa i Lozanna uprawiają już tylko rusycystykę, a skoro mają studentów w wystarczającej ilości, nic się tu nie zmienia także i w trzecim tysiącleciu *post Christum natum*. Drobną katedrę slawistyki w Neuchatel w latach osiemdziesiątych zamknięto całkiem i aby przypadkiem później nie odrosła, sprzedano nawet całą bibliotekę słowiańską. W dwujęzycznym Fryburgu szwajcarskim po piętnastoleciu slawistyki bez polonistyki (1968–1983) prawie przez przypadek powołano na stanowisko profesora slawistę ze specjalizacją polonistyczną (autora niniejszego szkicu). Gdyby wtedy wybrano kogoś innego spośród trzech poważnych kandydatów, polonistyka fryburska nadal spałaby pokryta kurzem wśród rozklejających się woluminów skromnej biblioteki polskiej. Nie zabrakło zresztą i tutaj dyskretnych rad życzliwych kolegów, aby pokonać wieczny kryzys fryburskiej slawistyki (mało personelu, pieniędzy na książki i studentów) zrzucając — za przykładem prosperujących „slawistyk” genewskiej i lozańskiej — wszelki balast nierusycystyczny.

W Szwajcarii niemieckojęzycznej Berno na razie nie ma polonistyki ze względu na ścisłą współpracę z Fryburgiem. Tradycje polonistyczne Bazylei żyją dalej raczej w ukryciu (dokupuje się książki polskie, prowadzi się lektorat języka polskiego), bo od śmierci Hildegard Schröder już nie było tam profesora slawistyki z zainteresowaniami polonistycznymi, i tak jeszcze zostanie na długie lata. W Zurychu wygląda lepiej niż w Bazylei, bo tam działa aktywnie polonista, docent German Ritz — na razie, bo nie wiadomo, co się stanie, gdy dotknie go rotacja. Jednym słowem: w Szwajcarii polonistyka uniwersytecka nie odradza się w związku z rozpadem *imperium sovieticum*.

2. Paradoks związany z recepcją literatury polskiej: dużo przekładów, mało czytelników, bardzo mało studentów polonistyki. Jeśli chodzi o ilość przekładów z literatury polskiej oraz o jakość wyboru pozycji, to niemiecki obszar językowy na pewno w dalszym ciągu wie dzie prym obok rosyjskiego i czeskiego. Zapal i wytrwałość tłumaczy zawdzięcza się przeróżnym motywom pierwotnym, które następnie przechodzą

w jakieś dziwnie zrutynizowane oddanie się sprawie, któremu towarzyszy czasem cichy zgrzyt zębów, podobnie jak u zakonników lub dawniejszych działaczy międzynarodówki.

Za to znacznie gorzej jest ze zdobywaniem czytelników. Wiąże się to między innymi z tym, że czytanie literatury generalnie wychodzi z mody wśród ludzi w wieku młodszym (wolą muzykę i film) i średnim (stresy zawodowe, życiowe, urlopowe). Dawno też minęły czasy, kiedy w odniesieniu do naszej publiczności literackiej można było mówić o klimacie ogólnej sympatii dla beletrystyki polskiej. Nie wszystko tu zależy zresztą od koniunktur politycznych. Ludzie czytający obcą literaturę piękną tak naprawdę nie chcą dowiedzieć się czegoś o innych krajach, tylko chcą poznawać możliwości duszy ludzkiej przez teksty literackie pisane w stylach albo jakoś bliskich i znanych, albo wyraźnie, „egzotycznie” obcych. W czasach, kiedy Polska była krajem politycznie bardzo ciekawym (np. na początku lat siedemdziesiątych i znowu między 1976 a 1981, tudzież obecnie), publiczne zainteresowanie jej literaturą okazywało się chyba słabsze niż w latach sześćdziesiątych. Przyczyną tego jest bodajże znaczna „różnica czasu” w zakresie mód literackich, która nastąpiła w połowie lat siedemdziesiątych. Młodszym ludziom nic prawie tu nie mówi dramaturgia polska, ongiś tak głośne — a bo gdzie są te nowsze dramaty polskie, które jakoś „rymuje się” z utworami nielicznych gwiazdorów lokalnych, takiego Thomasa Bernhardta, Botho Straussa, Petera Handkego lub Heinerja Müllera? Poezję z dowolnej strefy językowej i z dowolnych okresów w latach szkolnych młodzi czytają już tylko „pod przymusem” nauczycieli. Z odpowiednim trudem profesorzy slawistyki „zapędzają” potem na studiach nie-znawców Hölderlina, Nerval, Heinego, Eliota, Pounda i Celana do Chlebnikowa, Achmatowej, Mandelstama, Cwietajewej i Pasternaka — i z jeszcze większym trudem do Przybosa, Miłosza, Różewicza i Herberta. Z własnej inicjatywy czyta się już tylko prozę — obok niemieckojęzycznej głównie amerykańską, włoską, południowoamerykańską i nawet rosyjską (przy czym o wiele chętniej Bułhakowa, Szołochowa, Sołżenicyna, Grossmana, Trifonowa i Rasputina niż Biełego i Płatonowa). Z prozy polskiej sukcesy odnoszą Lem i Szczypiorski, a w węższych już warstwach Bruno Schulz, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Miłosz jako autor *Doliny Issy* oraz Paweł Huelle; przy umiejętnej reklamie można by było lansować realizm i neorealizm polski — Prusa, Orzeszkową, pewne rzeczy Żeromskiego, Nałkowskiej i Dąbrowskiej. Natomiast tak naprawdę na początku nie zachwyca młodych Witkacy, Gombrowicz (z wyjątkiem *Opętanych*), proza Różewicza, Konwicki, nie mówiąc o późnym Parnickim lub o Buczkowskim. Do tych wszystkich filarów dwudziestowiecznej prozy polskiej zapędzamy naszych adeptów siłą, niczym do poezji.

Krótko mówiąc, od przeszło dwudziestu lat literatura polska nie jest wystarczającym motywem dla młodych ludzi, aby wybrali polonistykę jako kierunek studiów.

3, 4. Studia slawistyczne wybierają młodzi ludzie z różnych i nie zawsze zbyt wyklarowanych przyczyn. Odgrywa tu rolę pewien dar językowy, który odkrywa w sobie większość z nich. Prawie wszyscy mają też wrażenie, że to niby „Wschód” jest w modzie, przy czym nie za bardzo, co zapewnia pożądaną ekskluzywność. Pojęcie „Wschód” zawiera zresztą dla tutejszych również sztywną tylko w bardzo wąskich kręgach „Europę Środkową”. Wpływa na wybór kierunku matka lub ciocia, która „w młodości” podsunęła lektury z klasyki rosyjskiej (rzadko natrafiam na kogoś, kto „w młodości” zachwycał się jakimś pisarzem polskim, np. Lemem); u polonistów silnym motywem bywa dziadek–pradziadek Polak lub jakaś przyjaźń czy miłość wakacyjna. Niektórzy dają się także zafascynować, nie zmaconemu przez znajomość konkretnych faktów, nastrojowi ciemno-romantycznemu wiejącemu z historii Polski. Prawie wszyscy wybrali te studia wiedząc doskonale, że nie czeka ich po egzaminie jakakolwiek intratna kariera; zazwyczaj ten wybór jest wyrazem ich łagodnego protestu przeciwko materializmowi naszego społeczeństwa konsumpcyjnego. Gatunek sympatyków komunizmu, zawsze istniejący tylko w bardzo małej ilości okazji, należy praktycznie zaliczać do wymarłych. Może w przyszłości przyjdą do nas ludzie zainteresowani specyfiką polską w warunkach integracji europejskiej, chociaż Europa polityczna akurat w Szwajcarii wciąż jeszcze nie należy do spraw najbardziej interesujących młodzież.

Nie wszyscy, którzy z takim rodzajem motywacji trafiają do nas, wytrzymują szok konfrontacji z wyspecjalizowanymi studiami literackimi, które im oferujemy. Ale większość jednak potrafi znieść pierwszy szok i ci zgadzają się jakby „na wszystko”, tak samo jak studenci biologii zgadzają się na poznawanie wszystkich rodzajów roślinności. Dość chętnie dają się np. wprowadzić do poezji Kochanowskiego i innych autorów odrodzenia lub baroku, bo jest to z jednej strony daleko i „egzotycznie”, a z drugiej strony otwiera drogę do tradycji antycznych i włoskich, do których odczuwają nadal pewną ogólną sympatię, zwłaszcza w czterojęzycznej Szwajcarii. Łatwo przekonać ich do wartości literackiej tekstów autora *Fraszek*, szczególnie w porównaniu z rosyjską literaturą przedpuszkinowską.

Kochanowski oraz szerszy kontekst jego dorobku stanowi zatem jeden ze stale powtarzających się tematów nauczania, i to nierzadko już na wczesnym etapie studiów, na podstawie przekładów, a rzadziej oryginałów łacińskich. Ma to zresztą tę zaletę, że w tekstach wszystkich następnym okresie można wytropić aluzje do Mistra Czarnoleskiego.

Tu od razu wypada zanaczyć, że przy analizie jego (i nie tylko jego) dzieł odwołujemy się obok wszelkich możliwych elementów teorii literatury (formalizm, strukturalizm, Ingarden, hermeneutyka, dekonstruktywizm), szczególnie do ich intertekstualności. Zastosowanie uproszczonej teorii intertekstualności okazało się bowiem bardzo efektywnym chwytym dydaktycznym w procesie poznawania tej zupełnie im uprzednio nie znanej literatury narodowej i europejskiej. Jak się odkrywa u Kochanowskiego jakiś mgliście zapamiętany mit antyczny, a potem ślady Kochanowskiego u Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Miłosza, to łatwiej znieść wstępne uczucie całkowitej obcości wobec tej literatury. Z tego też powodu często prowadzę seminaria typu „pisarz X oraz jego konteksty polskie i niepolskie”. Nie unikam przy tym tematu koneksji niemieckich czy rosyjskich Mickiewicza, Prusa, Żeromskiego, Witkacego, Gombrowicza czy Schulza, bo wszyscy nasi poloniści także studiują literaturę rosyjską, a w przytłaczającej większości są to osoby niemieckojęzyczne.

Drugim stałym tematem jest oczywiście romantyzm od Mickiewicza do Norwida, przy czym najbardziej szczerze zainteresowanie wywołują Słowacki, Krasiński i Norwid. Kiedy studenci są na tym etapie, już mieli okazję zapoznania się w czasie podróży do Polski ze staroświeckim w ich mniemaniu patriotyzmem rówieśników. Fakt, że z romantyków polskich wyczytać można także i coś innego niż patriotyzm, zdaje się utwierdzać ich w przywiązaniu do tej literatury.

Filary nauczania literatury dwudziestowiecznej to Witkacy, Schulz i Gombrowicz, poza tym także i Miłosz. Zdecydowanym ulubieńcem studentów jest Schulz. Pewnym sukcesem zarówno u początkujących, jak i bardziej zaawansowanych okazał się także nowy podwójny wykład: jeden o rozwoju rosyjskich i polskich koncepcji literackich (naukowych i autorskich) od pozytywizmu do strukturalizmu, a drugi o powieści polskiej od pozytywizmu do drugiej wojny światowej.

Pragnąłbym dodać, iż polonistykę we Fryburgu można studiować szerzej niż w innych uczelniach Szwajcarii. Ktoś bardzo zainteresowany tą dziedziną uprawiać ją może w obrębie przedmiotu głównego „Języki i literatury słowiańskie”, przy czym polski wolno mu wybrać jako pierwszą dziedzinę (60%) przed rosyjskim (25%) oraz jakimś trzecim językiem słowiańskim (15%). W dodatku może jeszcze wybrać jako jeden z obowiązkowych dwu przedmiotów pobocznych „polonistykę” już bez dalszych domieszek słowiańskich. Przy takim zestawieniu kierunków studiów polonistyka wychodzi faktycznie jako *branche primaire* (przedmiot główny). Z dwudziestki zajmujących się jakimkolwiek problemem polonistycznym sześcioro w tej chwili myśli o napisaniu polonistycznej pracy magisterskiej.

5. Trudno mówić o roli polonistyki dla kultury szwajcarskiej. W kontekście włosko- lub francuskojęzycznym wszystkie inicjatywy pośrednictwa wpływają na Szwajcarię „łacińską” drogą okreśną przez metropole Francji lub Włoch (nawet znana w Polsce działalność zasłużonej firmy wydawniczej L’Age d’Homme w Lozannie). Tą drogą dochodziło także do wyleczenia inteligencji tubylczej z iluzji prokomunistycznych. Ułudy te w kraju Wolnych Szwajcarów nigdy nie były silne, a dla ich zażegnania wystarczyły w łacińskich stronach Konfederacji odgłosy dyskusji paryskich i rzymskich, w których tematy polskie odgrywały znaną powszechnie rolę. Natomiast w Szwajcarii niemieckojęzycznej sytuacja jest z gruntu inna, mimo to wynik dla importu z Polski — taki sam. Wprawdzie funkcjonuje tam wyraźnie odrębne wobec Niemiec środowisko literackie, ale należący do niego pisarze i krytycy prędkiej szukają swojego specyficznie szwajcarsko-kosmopolitycznego stosunku do „szerokiego świata” (obie Ameryki, Afryka, Azja, Związek Radziecki) niż do kultur geograficznie bliższych i „mniejszych”, a jeżeli już, to bardziej przyciąga ich Jugosławia, Czechy i Węgry niż Polska. Młodszy i starsi poloniści tak naprawdę nic na to poradzić nie mogą, nawet jeśli znacznie pomnoży się liczba ich felietonów na tematy polskie. Pewne efekty można by było osiągnąć przez systematyczną akcję przekładów z polskiego na pomniejsze języki Szwajcarii, na retoromański i przede wszystkim na popularny u większości dialekt niemiecki, funkcjonujący coraz bardziej jako język narodowy 75% Szwajcarów. Ale abstrahując od niezliczonych trudności związanych z taką akcją, na sukcesach odnoszonych tą drogą ciążyłaby śmieszna reputacja jakiejś międzynarodówki prowincjonalizmów.

Zaś rola, którą moglibyśmy odgrywać dla Kraju, sprowadza się wyłącznie do naszych publikacji naukowych, które docierają do krajowego ośrodka polonistycznego jako mniej lub więcej poważny głos w specjalistycznych dyskusjach. Aż śmiesznie mówić o jakimś specyficznym szwajcarskim spojrzeniu na tematy polonistyczne, chociaż stwierdzam nie bez satysfakcji, że garstka naszych studentów Polaków czuje się tu raczej niezłe obsługiwana na tle swoich polskich doświadczeń gimnazjalnych lub nawet uniwersyteckich.

Profesor Halina Filipowicz, Department of Slavic Literatures, University of Wisconsin, Madison

Nie sposób mówić o p r z y w r a c a n i u równowagi z tej prostej przyczyny, że polonistyka nie była tu nigdy pełnoprawnym

partnerem rusycystyki. Znamienne są losy mojego wydziału — wydziału slawistyki na uniwersytecie stanu Wisconsin. Dzięki zabiegom miejscowych polityków polskiego pochodzenia powstał tu pół wieku temu z okładem Department of Polish Studies. Nie wiem doprawdy, czemu bardziej się dziwić — temu, że polonistyka ubiegła w Madison rusycystykę, czy raczej temu, że działaczom Polonii udało się wywalczyć (tak, wywalczyć!) dotacje ze stanowego budżetu i ufundować katedrę literatury i języka polskiego. I jedno, i drugie nie ma precedensu w historii kultury amerykańskiej.

Zajęcia w nowej — wówczas jeszcze jednoosobowej — katedrze rozpoczęły się jesienią 1936 roku. Najpierw prowadził je Witold Doroszewski, po nim, w latach 1937–1939 — Józef Birkenmajer, a od 1939 roku — Edmund Zawacki. W 1942 roku Department of Polish Studies zmienił nazwę i orientację, ale pozostała nie tylko niebanalna tradycja, lecz również etat polonisty i jeden z najbogatszych księgozbiorów polonistycznych w Stanach. Mało to czy dużo? Może kiedyś się dowiem, jak naprawdę wyglądał ów madisoński *Anschluss* i jaka była reakcja środowiska polonijnego.

Wątpię, czy rozpad imperium rosyjskiego przyczyni się do równouprawnienia wszystkich dyscyplin słowiańskich na amerykańskich uniwersytetach. O silnej pozycji rusycystyki nie decyduje bowiem imperium — tam, lecz imperium — tu. Imperium tutejsze to potężny system przywilejów, które nie tylko ułatwiają pracę własną, lecz i dodają prestiżu. To dostęp do środków i zasobów, do komisji i komitetów, do stypendiów i płatnych urlopów naukowych. To hierarchia wartości, która wymaga, by w najbardziej liczącym się czasopiśmie slawistycznym w Stanach, „*Slavic Review*”, dział rozpraw zawsze otwierała tematyka rusycystyczna. Argument, że literatura polska jest atrakcyjna i reprezentuje szczególnej wagi wartości, z pewnością nie wystarczy, by polonistyce przypadło na uczelniach amerykańskich należne jej miejsce.

W 1961 roku, na pierwszym swoim wykładzie z literatury polskiej na Uniwersytecie Chicagowskim, Maria Kuncewiczowa zapytała studentów, dlaczego wybrali polonistykę. Dlatego — usłyszała w odpowiedzi — że jest to nowy kierunek i po studiach łatwo będzie o posadę. Trzydzieści lat później polonistyka jest nadal „nowym kierunkiem”, lecz nie zdarzyło mi się spotkać Amerykanina, który powtórzyłby za studentami Kuncewiczowej: „Chcę uczyć literatury polskiej”. Obawiam się, że wina leży niekoniecznie po mojej stronie.

Studenci amerykańscy są realistami, więc nikomu nie trzeba dwa razy powtarzać, że magisterium czy doktorat z polonistyki to inwestycja nieopłacalna, bo dla polonistów nie ma posad. Gdy zaś nie ma chętnych

na studia polonistyczne, uniwersytety cofają subwencje. Koło się zamyka. Nie może więc dziwić, że większość wydziałów używa slawistyki jako szyldu dla studiów wyłącznie rusycystycznych. Owszem, tu i ówdzie prowadzi się lektoraty, a nawet zaprasza na semestr czy dwa literaturoznawców z Polski. Ale polonistyka amerykańska kuleje z prozaicznego powodu: brak stałych etatów.

Pracujemy jednak w firmie, która nie od dziś zajmuje się kształceniem pokolenia następców. Jeśli zatem w moim pokoleniu rozpad imperium rusycystycznego może być sprawą wątpliwą, nadzieje pokładam w swoich studentach — i w perfidnej działalności dywersyjnej. Skoro się zanoszą na to, że uniwersytety amerykańskie zaczną nagle zakładać katedry literatury polskiej, wykorzystuję obecny stan rzeczy do własnych, z pewnością niecnych celów. Wydziały slawistyki zwykle wymagają od studentów rusycystyki dodatkowej specjalizacji z dowolnej literatury słowiańskiej. Jeśli studenci ci trafią na wykłady z literatury polskiej, to nie żałując wysiłku można nawet z Gombrowicza spreparować polonistyczny eksponat muzealny. Można zżymać się na „turystów po literaturze polskiej”, odślaniając przy tym własne urazy wobec rusycystycznego imperium. Ale można z wykładów dla nie-polonistów uczynić narzędzie najbezczelniejszej dywersji.

Powiem od razu: nie dbam o to, by literaturę polską uczynić bardziej „swojską” czy „przyswajalną”. Owszem, może ona przyciągać swoją atrakcyjnością, oryginalnością, odrębnością nawet — ale przyciągać po to tylko, by czytelnik skonstatował: ach, jakie to polskie! Komplement to wątpliwy. Na swoich wykładach Mickiewiczowską *Romantyczność* zestawiam więc z nowelą Hawthorne’a *Ethan Brand, Nad wodą wielką i czystą* z *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór* Frosta, *Dolinę Issy* z *Huckiem Finnem*. Zestawiam czasem na zasadzie kontrastu, częścię — by prześledzić analogie, zawsze — by wydobyć literaturę polską ze skansenu egzotyki dla wtajemniczonych i osadzić ją w tradycji literackiej Europy i Stanów. Chodzi mi więc nie o „polskość” ani nawet o „uniwersalność”, lecz o normalne funkcjonowanie literatury polskiej w zachodnim literaturoznawstwie. Chciałabym, by w polu widzenia komparatystów i teoretyków zachodnich znalazła się literatura polska. Chciałabym, by nie-poloniści — podejmując liczne ostatnio rewizje kanonu oraz obowiązujących sądów o prądach i gatunkach — sięgali nie tylko do literatury rosyjskiej i zachodniej.

Jeśli z polskiej perspektywy odnieść można wrażenie, że polonistyka na Zachodzie stroni od teorii literatury, to z pewnością ów rozbrat między teorią a literaturą bierze się w dużej mierze z usilnych starań, by ustrzec literaturę ojczystą przed obcym żywiołem — łącznie z refleksją teoretyczną. Nieufność czy nawet niechęć do wszelkich „nowinek” — nawet

jeżeli są to nowinki sprzed ćwierćwiecza — jest, jak sądzę, wotum nieufności do kultury przybranej. W oddaleniu od kraju można zadowolić się powtórkami tematycznymi i warsztatowymi, można trzymać się krzepko w kręgu wysłużonych rekwizytów. Ale chyba chciałbym się nieswojo w roli misjonarza, co na amerykańskich obszarach intelektualnej pustki głosiłby wielkość literatury polskiej, by rzucić tubylców na kolana. Powiem więcej: nie zależy mi na tym, by kształcić amerykańskich polonistów.

Interesuje mnie natomiast, jak „naszą” literaturę widzieć będą „oni” — oni, to znaczy nowe pokolenie badaczy amerykańskich, którzy posiadli pewien zasób wiedzy o literaturze polskiej. Z przewrotną satysfakcją przysłuchuję się studentom, którzy na seminarium z dramatu zaczynają odkrywać jakieś niepokojące, wymykające się łatwym formułkom różnice — lecz i zbieżności — w tradycji dramatycznej Polski, Rosji i Zachodu. Studenci ci na pewno ustępują w niejednym absolwentom polonistyki krajowej. Dysponują za to kontekstem własnej kultury, który gruntownie zmienia optykę, w jakiej jawi się literatura polska. Ta obca optyka umożliwia nowy, wcale niebanalny ogląd naszej literatury.

Jeszcze inna jest moja optyka — optyka tej, która owe dyskusje studenckie podstępnie prowokuje, by wsłuchać się w nie jak najpilniej. Powiedziałabym, że jest to spojrzenie z pogranicza, bo nie będąc tam, nie jestem zarazem w pełni tutaj, gdyż ukształtowała mnie inna kultura. Swój dialog toczę więc z kulturą przybraną, która zmusza mnie do coraz nowych lektur, do rewidowania przywiezionych sądów i interpretacji, do przełamywania nawyków. Prowadzę swój dialog także z kulturą ojczystą, którą odczytuję przez lektury i doświadczenia stąd. Cenię sobie swe pogranicze, więc nieufnie odnoszę się do wszelkich modeli albo — albo. Dążyć do integracji? Osobno „robić swoje”? A może jeszcze inaczej: prowadzić dialog, i to nie tylko za pośrednictwem gotowych już prac i publikacji?

Regina Grol-Prokopczyk, profesor slawistyki, Hunter College, New York

1. Obawiam się, że tzw. rusycystyczny imperializm na wydziałach slawistyki uniwersytetów amerykańskich tak szybko nie zniknie. Środki masowego przekazu w USA od lat koncentrują się na Związku Radzieckim, a Polskę i sprawy polskie traktują raczej po macoszemu. W rezultacie młodzież amerykańska jest bardziej wyczulona na problemy i kulturę ZSRR. Po wtóre, studenci amerykańscy mają

szalenie pragmatyczne podejście do życia. Wybór studiów jest najczęściej zdeterminowany możliwością zarobków po ukończeniu uniwersytetu. Ponieważ rusycystyka lub tzw. „Russian Area Studies” potencjalnie przynajmniej dają szansę na kontakt ze znacznie większym rynkiem ekonomicznym i stąd zwiększają szansę na pracę zarobkową, większość studentów slawistyki wybiera rusycystykę, nawet jeśli są pochodzenia polskiego lub czeskiego. Jest jeszcze jeden wzgląd, który nie rokuje szans na obalenie „imperializmu rusycystycznego”. Wydziały slawistyki są zdominowane przez profesorów rusycystyki, którzy kurczowo trzymają się programów nauczania, do których przywykli. Stąd wysnuwam wnioszek, że minie wiele lat, zanim cokolwiek się zmieni.

2. Literatura polska niewątpliwie może nauczyć człowieka Zachodu bardzo wiele. Liczni Amerykanie są już tego świadomi i teksty przetłumaczone na angielski często wciągane są do programów nauczania na wydziałach anglistyki. I tak np. Bruno Schulz, Miłosz, Gombrowicz, Mrozek włączani są z coraz większą częstotliwością do list lektur na wydziałach anglistyki czy teatru. Liczyć należy raczej nie na slawistów, których liczba jest znikoma, lecz na intelektualistów amerykańskich otwartych na Europę Wschodnią. Zadaniem naczelnym byłoby więc zwiększenie liczby przekładów i masowa kampania rozpowszechniania literatury polskiej w pismach i wydawnictwach amerykańskich. Wiem z doświadczenia, że brak przekładów lub dobrych przekładów jest odczuwany w Stanach dość dotkliwie. Nawet teksty uprzednio przetłumaczone wydawane są często w bardzo małych nakładach i po krótkim czasie znowu stają się niedostępne. Ponadto, ze względu na bardzo niską znajomość historii i kultury polskiej wśród studentów amerykańskich (nawet tych, którzy są pochodzenia polskiego), tłumaczenia literatury polskiej winny być opatrzone wstępami krytycznymi, które plasują dzieło w kontekście historyczno-kulturowo-literackim.

Literatura polska niewątpliwie może nauczyć człowieka Zachodu innej skali wartości, innych tradycji literackich, odmiennej mentalności, nie mówiąc już o oryginalności i eksperymentatorstwie artystycznym.

3. Prowadzę zajęcia z dramatu polskiego XX wieku (w tłumaczeniu na angielski). Mam grupy mieszane składające się ze studentów slawistyki i wydziału teatru. Teatr polski ma doskonałą reputację w USA. Słuchacze zapisują się na mój kurs chyba głównie ze względu na egzotykę przedmiotu.

4. Połączenie polonistyki ze studiami teorii literatury byłoby niewątpliwie pożyteczne. Szkopuł w tym, że stopień przygotowania studentów na pierwszym roku jest na ogół niski. Ponieważ studia pierwszego stopnia, czyli prowadzące do tytułu B. A. lub S. S., trwają zaledwie cztery lata, często trzeba okrajać tematykę teoretyczną, by pozostawić miejsce

w programie dla lektury zasadniczych tekstów. Tym niemniej wielu profesorów łączy w jakimś stopniu nauczanie tekstów literackich z tekstami teoretycznymi. Na etapie tzw. *graduate studies* (to znaczy studiów prowadzących do stopnia magistra czy doktora nauk) to sprzężenie bardzo się potęguje i często luki teoretyczne są nadrabiane.

5. Intensyfikacja kontaktów między ośrodkami polonistycznymi w kraju i za granicą niewątpliwie będzie obopólnie korzystna. Poloniści przebywający na Zachodzie ulegają innym wpływom kulturowym, co często prowadzi do bardzo odmiennych perspektyw i rezultatów badań. Poloniści krajowi natomiast są świadkami bieżących zmian i nowych trendów, i mają bardziej bezpośredni kontakt z kulturą rodzimą. Integracja programów badawczych byłaby więc bardzo wskazana.

Beth Holmgren, profesor literatur słowiańskich, University of California, San Diego

Wydaje mi się, że zepchnięcie polonistyki na margines amerykańskiego życia naukowego ma swoje przyczyny w zasadach finansowania nauki, które z kolei biorą się z charakterystycznego dla Ameryki uznawania priorytetu dla takich spraw jak potęga państwa, wartości społeczne i rola grup wyborców zrzeszonych na zasadzie etnicznej. Od czasu drugiej wojny światowej Związek Sowiecki stanowił w oczach rządu amerykańskiego takie zagrożenie, że ten ostatni przeznaczył spore fundusze na rozwój studiów w dziedzinie rusycystyki i historii Rosji (mylenie Rosji ze Związkiem Sowieckim jest zjawiskiem nagminnym). Studia filologiczne związane z Polską, Czechosłowacją, Jugosławią, Bułgarią itd. finansowano o tyle, o ile te dziedziny ujawniały coś istotnego — z perspektywy satelitów — na temat rosyjskiego/sowieckiego przeciwnika. Moje własne studia polonistyczne były finansowane z funduszy stypendialnych Departamentu Obrony. Regułą było dotąd, że studenci amerykańscy podejmują tego rodzaju poboczną specjalizację w zakresie „drugiej dyscypliny słowiańskiej” jako swoiste wzmocnienie swojego wykształcenia rusycystycznego.

Dziś, gdy rozpadające się imperium radzieckie przestało już (?) być naszym głównym zagrożeniem, można by mieć nadzieję, że owe „drugie dyscypliny słowiańskie” zostaną wyzwolone spod hegemonii rosyjskiej. W warunkach obecnej recesji gospodarczej mogą być jednak, obawiam się, potraktowane jako „nieistotne”. Czytanie oraz nauczanie języka i literatury — nawet literatury amerykańskiej — nigdy nie zajmowało wysokiej pozycji w hierarchii wartości amerykańskiego społeczeństwa. Jako naród skłonni jesteśmy považać i nagradzać wysiłki w dziedzinie

nauk ścisłych i bystrość w sprawach finansowych; nasze uniwersytety ładują najwięcej pieniędzy w kierunki takie jak właśnie nauki ścisłe i business. Przy ograniczonych funduszach i ustalonych priorytetach uniwersytety amerykańskie okrawają obecnie wszystkie wydziały i redukują liczbę wykładowców, usiłując uratować to, co uznają za niezbędne, i hamując pluralizację świata naukowego, która nieuchronnie pociągnęłaby za sobą zwiększone wydatki.

Odmalowuję ten niewesoły obraz opierając się na praktycznym doświadczeniu, ale i z praktycznymi celami na względzie. Swoje studia podyplomowe odbyłam na wydziale języków i literatur słowiańskich, gdzie ostrzegano mnie (z najlepszymi intencjami), abym ograniczyła swoje zainteresowania polonistyczne i starała się uchodzić za rusycystkę. Obecnie wykładam na wydziale literatury (firmuje on studia nad wszystkimi literaturami narodowymi, jak również zajęcia teoretycznoliterackie i zajęcia z zakresu *creative writing*), gdzie literatury słowiańskie, mimo dobrych intencji moich kolegów, są w sposób nieunikniony spychane na margines, przyćmiewane przez problematykę amerykańską i zachodnioeuropejską. Nie uważam jednak sytuacji za beznadziejną. Naukowcy działający już w tej dziedzinie potrafią zaimprowizować pewne rozwiązania. Dzięki wysiłkom poprzedniego pokolenia polonistów amerykańskich mamy do dyspozycji szerszy wybór dzieł literatury polskiej dostępnych w dobrych przekładach. I tłumaczeniami tymi możemy się posługiwać jako wstępными przyrętami: trzeba tylko, abyśmy zadawali studentom ich lekturę, przemycali je do naszych programów zajęć. Możemy oferować studentom egzotyczne, intrygujące zajęcia, takie jak „Polski teatr” lub „Współczesne pisarstwo polskie” (oparte na lekturach dostępnych w przekładzie) czy chociażby rozleglejsze tematycznie wykłady „przeglądowe”, które w swoim programie znajdą trochę miejsca na literatury Europy Środkowej. Liczne college'e wymagają od studentów pierwszego roku zaliczenia podstawowego bloku zajęć z dziedzin humanistycznych i możemy przyłożyć rękę do takiej organizacji tych zajęć, aby prezentowały one mniej zaściankową perspektywę widzenia kultury „europejskiej”. Na poziomie studiów podyplomowych musimy uczynić zasadą posługiwanie się na seminariach tekstami polskimi — czy to z zakresu teorii literatury, czy dotyczącymi pewnych specjalnych tematów. Ideałem byłoby, gdyby seminarium na temat europejskiego romantyzmu włączało w obręb swoich zainteresowań *Dziady*; seminarium na temat pisarstwa autobiograficznego mogłoby uczynić użytek z szerszej panoramy pisarzy, od Paska do Gombrowicza. Ponadto na poziomie podyplomowym musimy wyraźniej zakreślać paralele pomiędzy doświadczeniami światów pierwszego/drugiego

i trzeciego, pokazywać tory, jakimi toczyła się historia relacji pomiędzy kolonistą a kolonią w Rosji/Związku Sowieckim i w Europie Środkowej.

Jednocześnie naukowcom amerykańskim i polskim razem wziętym potrzebny jest rozrost sieci wymiany naukowej. Raz jeszcze opierając się na własnym doświadczeniu powiem, że pobyt w Polsce jest najskuteczniejszym środkiem przyciągnięcia studentów do zajmowania się polską problematyką. Znaczny procent amerykańskich *undergraduates* spędza część swoich lat nauki na „studiach za granicą”; jadą tam po części po to, aby przeżyć doświadczenie zanurzenia się w obcej kulturze. Jeśli studenci amerykańscy potrafią w celu takiego „zanurzenia się” w języku rosyjskim wybierać się aż do Nowosybirska, z pewnością będzie dla nich atrakcją „zanurzenie się” w przyjemniejszym otoczeniu Krakowa, Wrocławia, Torunia itd. Warto by też pomyśleć o stworzeniu systemu krótkoterminowych wymian dla studentów podyplomowych nie będących specjalistami, ale studiujących inne literatury — np. w postaci trwających miesiąc szkoleń w zakresie tego, co dzieje się, w sensie tematycznym i teoretycznym, w bieżącej produkcji literackiej Polski czy, szerzej, Europy Środkowej. Tam, gdzie obecnie pracuję, znam całkiem sporą liczbę studentów podyplomowych zajmujących się komparatystyką, którzy przyjęliby z chęcią ten rodzaj dostępu do wiedzy: nie mają oni czasu ani funduszy na uczenie się polskiego, ale pragną wiedzieć jak najwięcej o literaturach i kulturach środkowoeuropejskich. Rozwiązaniem najpewniejszym, bo najbardziej długofalowym, jest oczywiście zdobywanie środków finansowych. Gwarancją utrzymania się studiów polonistycznych w Stanach Zjednoczonych jest przede wszystkim istnienie etatów profesorskich, najlepiej w postaci „fundowanych katedr”. Program pomocy finansowej służącej tworzeniu nowych etatów wprowadziła już w życie jedna instytucja — tzw. Joint Committee on Eastern Europe (agencja działająca w ramach American Council of Learned Societies) — ale jej wysiłki muszą znaleźć poparcie w działalności innych grup. Tu właśnie w cały problem włącza się zagadnienie społeczności wyborców zrzeszonych na zasadzie etnicznej. Jeśli potrzebnych stanowisk uniwersyteckich nie zapewni rząd albo środowisko naukowe — proponować ich utworzenie i zdobywać na nie środki mogą organizacje prywatne. Gdy tylko stać je było na zebranie i ukierunkowanie swoich sił, grupy polonijne wywierały zawsze mocny nacisk na politykę tak rządu federalnego jak władz stanowych; podobny może być skutek ich działań w świecie nauki. Organizacje te mogą już być przeczutek akcjami o charakterze filantropijnym i zdominowane przez niedawnych emigrantów, dopiero urządzających się w nowym środowisku. Prozaicznym faktem naszej

wolnorynkowej gospodarki jest jednak to, że przedsięwzięcia w dziedzinie kultury i nauki utrzymywane są w znacznej części z prywatnych fundacji i darowizn. Co za tym idzie, my wszyscy, którym drogie są — w wyniku czy to naszego pochodzenia, czy pobranych nauk — bogactwa polskiej literatury i kultury, musimy wspólnym wysiłkiem pomóc w opłaceniu kosztów jej pozostania na stałe na scenie amerykańskiego życia kulturalnego.

przełożyła Anna Barańczak

**Jerzy R. Krzyżanowski, profesor literatur słowiańskich,
The Ohio State University**

1. Jak wspomina w swoich pamiętnikach George F. Kennan, właściwy twórca amerykańskiej polityki wobec Rosji, z wyjątkiem paru uniwersytetów w całych Stanach nie istniało ani zainteresowanie, ani nauczanie rosyjskiego do czasu wystrzelenia „sputnika”, co stało się dla amerykańskiej opinii publicznej i polityki szokiem, ostrzeżeniem przed potęgą potencjalnego przeciwnika. Od tego czasu wzrósł nie tylko „popyt” na rusycystykę (w najszerszym tego słowa znaczeniu), ale także „podaż” w postaci ogromnych funduszy federalnych przeznaczanych corocznie na rozwój tej dziedziny studiów, w postaci m.in. stypendiów dla zaawansowanych studentów rusycystyki — nie sławistyki. Powstało pewnego rodzaju *perpetuum mobile*, w którym — rzecz jasna — zabrakło miejsca na studia inne niż rosyjskie, a jeśli je tolerowano, to tylko jako uzupełnienie głównego kierunku. W ten sposób „rusycystyczny imperializm” istotnie skutecznie wyeliminował polonistykę sposobem najprostszym — materialnym. I ani wybór papieża, ani Wałęsa wraz z „Solidarnością”, ani Nobel dla Miłosza, czy wreszcie „rozpad imperium politycznego” tego rodzaju konkurencji sprostać nie mogą. Mamy tu do czynienia z wysoce pragmatycznymi studentami, którzy umieją liczyć i muszą płacić, a w książeczce czekowej idealizm źle się bilansuje z zapewnieniem dobrej i dobrze płatnej pracy. Dlatego też trudno nawet myśleć o jakiegokolwiek równowadze.

2. „Czym literatura polska może zainteresować (ewentualnie: czego może nauczyć) człowieka Zachodu?” Zaczniemy od drugiego wariantu pytania, żeby raz na zawsze skończyć z typowo polskim poglądem, że literatura może kogoś czegoś nauczyć. Literatura, na amerykańskich uniwersytetach, sama jest przedmiotem nauki — nie spełnia funkcji pedagogicznych. Uczymy odczytywania literatury, a nie uczymy się z literatury. Pracując kiedyś nad artykułem o Prusie raz jeszcze dokładnie

przestudiowałem podstawową dla znajomości przedmiotu monografię Szweykowskiego i poza dosłownie paru krótkimi uwagami nie znalazłem w niej słowa o sztuce pisarskiej Prusa, mnóstwo natomiast informacji o jego poglądach, filozofii, znaczeniu społecznym itd., itp. To samo, *mutatis mutandis*, można powiedzieć o większości polskich studiów krytycznych, podczas gdy najnowsza ich odmiana, *made in IBL*, operuje żargonem trudno zrozumiałym dla szerszego grona niewtajemniczonych. A same teksty literackie? Na pewno ciekawe i warte uwagi krytyka, tyle tylko że niedostępne dla studentów, a tym samym nie istniejące w świadomości krytyki. Przykłady? Ostatnie wydanie *Trylogii*, w horrendalnym zresztą przekładzie Curtina, ukazało się w latach 1890–1893, a więc równe sto lat temu (nie piszę o nowym wydaniu, wchodzącym na rynek w latach 1991–1992, gdyż trudno oceniać przyjęcie publikacji przed jej ukończeniem); *Lalka* Prusa czekała na przekład lat osiemdziesiąt dwa (1890–1972); a cofając się w historii: *Komedie* Fredry wydano w przekładzie w roku pańskim 1969, Norwid nie istnieje w ogóle, o żadnych wierszach jakiegoś tam Słowackiego nikt nigdy nie słyszał, Kochanowski znany jest tylko w przestarzałych i od dawna wyczerpanych przekładach... A literatura bardziej współczesna? *Wesele* ukazało się w roku 1990 i ten pierwszy przekład natychmiast spotkał się z druzgocącą krytyką; ostatnie wydanie *Chłopów* w przekładzie wydano w 1924 r., a *Popioły* w cztery lata później i od tego czasu słuch o książkach tych zaginął nawet w dużych bibliotekach, nie mówiąc już o ich braku w księgarniach. Może nieco lepiej wygląda literatura współczesna, ale znów: w podtytule *Pornografii* czytamy *translated from the French*, a w *Kosmosie* znaleźć można jeszcze ciekawsze *curiosum* „Tytuł z polskiego oryginału *Kosmos*. Ta wersja Erica Mosbachera dokonana została z francuskiego tłumaczenia Georges'a Sedira i niemieckiego tłumaczenia (*Indizien*) Waltera Tiela”. Masowe wydania powieści Andrzejewskiego (np. przerażająco niechlujny i pocięty w strzępy przekład *Popiołu i diamentów* — *sic!*), Borowskiego, Konwickiego i Schulza w wydaniu serii Penguin najczęściej nie są wznawiane i gdy raz znikną z księgarni, dzielą losy Reymonta i Żeromskiego. Jeszcze inną jest sprawą przykładanie nadmiernej uwagi do literatury współczesnej, bez utrzymania należytych proporcji pomiędzy tym okresem a stuleciami poprzedzającymi, co w rezultacie przynosi wypowiedzi takie, jak „konstatacja” meksykańskiego tłumacza literatury polskiej, Serga Pitola: „Na ogół, kiedy mówi się o literaturze polskiej, myśli się o dwóch wielkich ekscentrykach epoki przedwojennej: o Stanisławie Witkiewiczu i o Witoldzie Gombrowiczu”. Brak książek, brak tłumaczeń, brak kwalifikowanych wykładawców... Wracając więc do pytania ankiety: „Jakie są główne trudności w prezentowaniu literatury polskiej?” odpowiedzieć

tylko można: prawie nie do pokonania. Podczas gdy Turgieniewa, Tołstoja, Dostojewskiego i tuzin innych pisarzy rosyjskich, z Pasternakiem i Sołżenicynem na czele, znaleźć można w każdej prawie księgarni i bibliotece publicznej; literatury polskiej na rynku, a zatem w świadomości czytelniczej, po prostu nie ma.

3. Wykłady z literatury polskiej na Ohio State University (ogólna liczba studentów: 64 000) prowadzę raz na parę lat, gdy od odpowiednio dużej grupy studentów rusycystyki, zwykle pięciu, sześciu osób, wymaga się znajomości „drugiej literatury słowiańskiej” (polskiej, serbsko-chorwackiej, bułgarskiej, ukraińskiej, czeskiej, jakiegokolwiek). Trudno więc mówić tu o polonistyce, a obawiam się, że poza kilkoma uniwersytetami amerykańskimi, które policzyć można na palcach jednej ręki, sytuacja podobna do mojej powtarza się regularnie z powodów, o których już wspominałem. Mam więc najczęściej do czynienia z grupą doktorantów specjalizujących się w literaturze rosyjskiej, biorąc zaś pod uwagę ich zainteresowania dobieram odpowiednio tematykę wykładów. W roku bieżącym na przykład zajmujemy się problemem kresów wschodnich w literaturze polskiej, od *Marii Malczewskiego* po *Wyspę ocalenia* Odojewskiego, przy czym porównania z Puszkinem, Gogolem, Tołstojem i Bablem nasuwają się nieodparcie. Tego rodzaju metoda porównawcza przynosi czasem niespodziewane owoce: przed paru laty jeden z moich studentów napisał bardzo cenną pracę na temat *Wojny i pokoju* oraz *Popiołów*, stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość, że poza jedną pracą magisterską na ten temat, z Uniwersytetu Śląskiego, nikt ani w Polsce, ani w Rosji podobnej tezy porównawczej struktury obu powieści nie przeprowadził.

4. Przyznać muszę, że twierdzenie ankiety o odseparowaniu polonistyki od teorii literatury na tutejszych uniwersytetach (a może brano pod uwagę inne kraje?) wydało mi się co najmniej dziwne. Polonistyka — jaka jest, o tym wyżej — jest działem studiów slawistycznych, które na szeroką skalę wprowadził tu dopiero Roman Jakobson, a kontynuują jego uczniowie, toteż sprawy formalizmu, strukturalizmu, a ostatnio semiotyki zawsze były w centrum jej uwagi. Żartobliwie powtarzam, że praca, w której nie cytuje się trzy razy Łotmana i pięć razy Bachtina (lub odwrotnie), nie zasługuje na uwagę. W tym też duchu staram się kierować moich studentów w stronę osiągnięć polskiej szkoły krytycznej, a jednemu z nich udało się przed paru laty napisać zupełnie zgrabną pracę doktorską na temat tego, co zrobiono w IBL przez ostatnie ćwierćwiecze, gdy jednak praca została obroniona, okazało się, że nie ma na nią wydawcy — nikogo to bowiem poza kilkoma specjalistami nie interesuje, ci zaś najczęściej znają i polski, i Polskę, i swoich kolegów z Pałacu Staszica na tyle dobrze, że sami pewnie lepiej by umieli napisać, gdyby

chcieli. W rezultacie jedno z najciekawszych zjawisk nowoczesnej polonistyki znów pozostało nie zauważone przez kolegów—sławistów, cytujących za to Bachtina nieomal z pamięci.

5. Ilu polonistów krajowych swobodnie czyta i mówi po angielsku? A dalej: ilu z nich regularnie śledzi amerykańskie prace krytycznoliterackie i teoretycznoliterackie? I wreszcie: ilu z nich podjęłoby się pójść w ślady Romana Dyboskiego (który był „tylko” anglistą) i potrafiłoby mądrze, ciekawie i zrozumiale mówić w Stanach o literaturze polskiej? Angielski stał się dziś językiem międzynarodowym i polonista, jeśli chce coś w świecie osiągnąć, musi to uwzględnić.

**Madeline G. Levine, profesor literatur słowiańskich,
University of North Carolina**

1. „Imperializm rosyjski”. Prawdą jest, że z nielicznymi wyjątkami, będącymi rezultatem dziewiętnastowiecznego rozmieszczenia imigrantów, wydziały języków i literatur słowiańskich zdominowane były w przeszłości przez rusycystykę. Wydaje się, że przewaga studiów nad kulturą rosyjską i radziecką rzeczywiście wiąże się bezpośrednio z mocarstwową pozycją Związku Sowieckiego, interpretowanie jednak sytuacji w uniwersytetach amerykańskich wyłącznie jako odbicia polityki międzynarodowej byłoby znacznym uproszczeniem.

Bezsprzecznie są pewne ważne, nawet racjonalne powody, dla których rusycystyka zachowa swe poczesne miejsce. Większość z nas, specjalizujących się w tym, co powszechnie określa się mianem „pomniejszych” literatur Europy Wschodniej, zwłaszcza tych z nas, którzy wykształcenie zdobyli w Ameryce, posiada również odpowiednie kwalifikacje w dziedzinie rusycystyki i rzeczywiście uczy języka rosyjskiego, prowadzi kursy rosyjskiego językoznawstwa lub literatury rosyjskiej. Odbija się to oczywiście na liczbie studentów, których możemy wykształcić w naszych węższych specjalnościach. Sytuacja ta jest jednak także wynikiem bardzo małego zapotrzebowania ze strony studentów na zajęcia inne niż rusycystyczne. Kiedy np. proponuję zajęcia z dziewiętnastowiecznej powieści rosyjskiej, bądź zajęcia poświęcone tylko Tołstojowi czy Dostojewskiemu, na taki kurs zapisuje się zwykle 25–35 studentów. Kiedy zaś wykładam literaturę polską, mam zazwyczaj nie więcej niż sześciu słuchaczy — czasami nawet mniej. Mój wydział po prostu nie mógłby sobie pozwolić na utrzymywanie mnie w gronie wykładowców, gdybym ograniczała się jedynie do polonistyki. Poza tym lubię wykladać literaturę rosyjską obok polskiej — ponieważ jest ona n a p r a w d ę interesująca, a także dlatego, że uczenie co roku

zaledwie garstki studentów działa na nauczyciela akademickiego demoralizująco.

Ponadto nauczanie języków słowiańskich i wschodnioeuropejskich poza rosyjskim jest bardzo słabo rozwinięte. W porównaniu z innymi językami Europy Wschodniej (eufemistycznie określanymi jako „języki mniej powszechnie nauczane”) polski i serbsko-chorwacki są reprezentowane dość dobrze. Oznacza to, że student, który rzeczywiście chce się uczyć jednego z tych dwu języków, znajdzie miejsce, gdzie będzie go mógł studiować przez co najmniej dwa lata. (Tylko bardzo nieliczne instytucje zapewniają dłuższą niż dwuletnia naukę tych języków; większość dobrych college’ów i uniwersytetów oferuje natomiast trzyletni kurs rosyjskiego, niektóre zaś nawet cztero- czy pięcioletnie. W wielu miastach amerykańskich przynajmniej podstawową znajomość rosyjskiego można zdobyć w szkole średniej; nie ma wszakże takiej możliwości jeśli chodzi o inne języki słowiańskie i wschodnioeuropejskie.) Jeśli jego macierzysty college lub uniwersytet nie prowadzi kursów języka polskiego, student może uczęszczać na kurs wakacyjny w jednej z kilku dobrych instytucji — taki kurs można znaleźć każdego lata. Do niedawna takich możliwości nie było w wypadku węgierskiego, rumuńskiego i innych języków Europy Wschodniej.

2. Jak zainteresować studentów literaturą polską? Bezsposornie literatura polska jest interesująca — zarówno pod względem formalnym, jak i tematycznym. K a ż d a literatura jest ciekawa na swój sposób, niektóre są jednak bardziej przystępne dla czytelników zagranicznych niż inne. Wykładowca literatury polskiej musi być przygotowany na poświęcenie znacznej części czasu swych zajęć zagadnieniom polskiej historii i polityki; duża część literatury polskiej (mówię tu oczywiście tylko o tym, co dostępne jest w przekładach angielskich) wydaje się niezrozumiała i prawie niedocieczona czytelnikom, którzy przystępują do niej z nader mglistym wyobrażeniem o Polsce jako jednym z owych wielu z trudem dających się od siebie odróżnić komunistycznych do niedawna krajów gdzieś tam w Europie. Zdziwiająca jest jednak, jak szybko studenci „połykają haczyk” polskiej literatury, gdy już ją odkryją. Kłopot polega zatem nie na tym, czy literatura polska może przemawiać do studentów amerykańskich, lecz na tym, jak ich przyciągnąć do sal wykładowych. Po blisko dwudziestu latach nauczania doszłam do pragmatycznego wniosku, że najgorszym sposobem przyciągania słuchaczy jest proponowanie kursów skupiających się niezmiennie na samej literaturze polskiej. Polonista musi być gotów uznać, że choć literatura polska może być „interesująca” i „atrakcyjna”, takie są również inne literatury — nawet rosyjska; przekona się, że więcej słuchaczy zapisze się na zajęcia porównawcze niż poświęcone wyłącznie polskiej literaturze, oraz

że studenci, którzy odkryją literaturę polską na zajęciach komparatystycznych np. o literaturze absurdu czy powojennej powieści wschodnioeuropejskiej, niejednokrotnie podejmą dalsze studia nad literaturą polską jako taką. Innymi słowy, najgorszą postawą, jaką może przyjąć polonista, jest postawa „my jesteśmy lepsi od nich”; a już bezwzględnie najgorsze jest stanowisko, będące formą samoobrony w tej trudnej sytuacji, zakładające, że polska literatura jest hermetyczna i nie można jej nauczać nie wtajemniczonych.

3. Prowadzone przeze mnie zajęcia. Raz na cztery semestry (czyli co drugi rok) prowadzę zajęcia z dwudziestowiecznej literatury polskiej w przekładach angielskich. W takich samych odstępach czasu prowadzę również albo kurs porównawczy na temat kształtowania tożsamości narodowej w literaturach Polski, Czechosłowacji i Jugosławii, albo zajęcia komparatystyczne z zakresu absurdu i groteski w literaturach polskiej, czeskiej i rosyjskiej. Co pewien czas wprowadzam specjalny kurs poświęcony radzieckiej i polskiej literaturze obozowej. Pozostałe moje zajęcia (co najmniej 50%) dotyczą literatury rosyjskiej. Wykładam w Uniwersytecie Północnej Karoliny od blisko siedemnastu lat i przez cały ten okres miałam tylko czworo studentów poważnie zainteresowanych literaturą polską bądź wybierających ją jako główną specjalizację (przy czym w dwu wypadkach byli to Polacy, a w jednym Amerykanin polskiego pochodzenia). Studenci wybierają moje zajęcia z literatury polskiej lub porównawczej z następujących powodów: (1) są pochodzenia polsko-amerykańskiego i są zaciekawieni swym dziedzictwem kulturowym; (2) robią doktorat z literatury rosyjskiej, a to nakłada na nich obowiązek studiowania (co najmniej) jeszcze jednego języka słowiańskiego i jego literatury; (3) specjalizują się w dziedzinie historii lub nauk politycznych, zajmując się dziejami Rosji i Związku Sowieckiego, a po trosze i Europy Wschodniej; (4) muszą spełnić uniwersytecki wymóg zaliczenia trzech kursów z zakresu tego, co nazywamy „perspektywą estetyczną”, a na wszystkich innych kursach tego typu, w których woleliby uczestniczyć, nie ma już miejsc. Studenci z grup (1) i (2) podejmują też zazwyczaj prowadzony przeze mnie dwuletni cykl nauki języka polskiego, w którym główny nacisk kładę na umiejętność biegłego czytania. W drugim roku tego kursu czytają oni zwykle jakąś sztukę Mrożka lub Gombrowicza, wybór powojennych opowiadań z wypisów pod redakcją prof. Alexandra Schenkera oraz wybrane utwory poetyckie, za każdym razem inne. Studentom, którzy tego pragną, oferuję również indywidualne zajęcia poświęcone lekturze prac o określonej tematyce; przez wszystkie te lata nie przeprowadziłam chyba więcej niż paręnaście takich kursów.

4. Polonistyka a teoria literatury. Bądźmy realistami. Trudno właściwie

mówić o „polonistyce” w Stanach Zjednoczonych. Subtelne rozważania teoretycznoliterackie opierające się na tekstach polskich nie mogą liczyć na znalezienie słuchaczy, chyba że zajmują się nielicznymi dobrze przetłumaczonymi i (stosunkowo) szeroko czytanyymi autorami polskimi — Miłoszem, Herbertem, Gombrowiczem. Naszym studentom potrzebne są dobre, przystępne prace krytyczne w języku angielskim dotyczące autorów, okresów i gatunków literackich. Potrzeba nam prawdopodobnie dwukrotnie więcej niż mamy obecnie tłumaczeń na angielski polskich utworów literackich. W taki właśnie sposób rozbudowuje się zaniedbaną dotychczas dyscyplinę badań literackich. Bez takich tworzących podwalinę dyscypliny prac polonistyka pozostanie dziedziną uprawianą przez odosobnioną mniejszość na obrzeżach rusycystyki.

5. Związki między polonistami polskimi i amerykańskimi. To chyba najtrudniejsze pytanie ankiety. Chciałoby się powiedzieć, że związki te powinny być ściśle i przynoszące wzajemne korzyści, jak jednak miałyby to wyglądać w praktyce? Liczne są przeszkody finansowe i praktyczne utrudniające wymianę badaczy i nauczycieli, podobnie jak wymianę studentów; niemniej należy dążyć do dokonywania takich wymian. Użyteczne dla obu stron byłyby wymiany książek, zarówno w ramach umów oficjalnych, jak i kontaktów prywatnych. Nietrudno zrozumieć, jak przydatni mogą być polscy badacze literatury i nauczyciele języka w środowisku amerykańskim; mogliby pomóc w przygotowaniu materiałów do nauczania, a nawet uczyć studentów amerykańskich jako goście odpowiednich wydziałów, pod warunkiem, że znajdą się na to pieniądze. Mogą oni oczywiście stanowić także nieocenioną pomoc jako rozmówcy i krytycy dla Amerykanów zajmujących się badaniem literatury polskiej. Trudniej natomiast wyobrazić sobie, w jaki sposób amerykańscy poloniści mogą się przyczynić do rozwoju tej dyscypliny w Polsce. Może jednak na tę część pytania powinni odpowiedzieć Polacy, nie Amerykanie.

przełożyła Maria Bożenna Fedewicz

Czesław Miłosz, profesor emerytowany literatur słowiańskich, University of California, Berkeley

Nie sędzę, że umiałbym odpowiedzieć na wszystkie pytania ankiety. Nie znam wydziałów sławistyki w zachodniej Europie, bo nigdy tam nie wykładałem. Tak, że moje uwagi odnoszą się wyłącznie do Stanów Zjednoczonych.

1. „Rusycystyczny imperializm” niewątpliwie istnieje i nic nie wróży

jego końca, nawet przeciwnie. Należy sobie uświadomić, o czym chętnie się zapomina, że uniwersytecka slawistyka zajmuje się nauczaniem języków słowiańskich oraz nauczaniem literatur, ale ta pierwsza funkcja jest podstawowa. Absolwenci mają znać język i główne dzieła w tym języku pisane, ale przecie ten język jest o b c y i opanowanie go kosztuje dużo wysiłku. Wobec tego jest to inwestycja pieniędzy i energii, czyli z założenia powinna być opłacalna. Im więcej dany język obiecuje w sensie pracy zarobkowej, a więc posad w instytucjach naukowych, handlowych, służby zagranicznej itd., tym lepiej. Ponieważ Rosja jest duża, im bardziej się otwiera, tym szansa pracy dla osób znających rosyjski rośnie. Wkład pieniędzy ze strony uniwersytetów jest z tym związany i zależy od liczby studentów chętnych do wybrania rusycystyki. Zdarza się, że tolerują polonistykę albo bohemistykę „dla honoru” domu, ale ulegają naciskom jej niechętnym przy pierwszej okazji. Na samych wydziałach rusycyści są zainteresowani w utrzymaniu swego stanu posiadania i subsydia garną dla siebie. W moim doświadczeniu koledzy–rusycyści odstręczali niekiedy od wybrania polonistyki, kierując się tych studentów korzyścią („gdziez dostaniesz pracę jako polonista?”). Brak jest grup nacisku. Polonia amerykańska jest notorycznie nie zainteresowana tzw. kulturą. Jest nastawiona na zarabianie pieniędzy i nawet możliwość zarabiania w zawodach humanistycznych jest już ponad jej rozumienie. Osobno należałoby zbadać, jak taka Polonia w Kanadzie, w Toronto, doszła do ufundowania polskiej katedry, ale to osobny temat, zbyt rozległy na tę ankietę.

2. Polska literatura nie jest szczególnie atrakcyjna. Rosyjska ma wielką powieść dziewiętnastego wieku, z której wszystko przetłumaczono na angielski, tak że studenci uczą się dopiero języka, ale równocześnie już studiują rosyjskich klasyków w przekładzie. Poezja rosyjska, dla tych, którzy nie mogą jej czytać w oryginale, trzyma się autorytetem. P o d o b n o Puszkina czy Błocki, czy Mandelstam są wielcy, ale w przekładzie nic z tego prawie nie zostaje. Literatura staropolska ledwo istnieje na Zachodzie, bo przecie to poezja albo dramat. Natomiast wiek dziewiętnasty też mało przynosi poza poezją, powieści prawie nie ma. Coś się tam rusza w wieku dwudziestym, ale przeważnie na marginesie komunizmu, jak Andrzejewski (*Ciemności kryją ziemię*), albo zagłady, jak Borowski. Któżby tam czytał Dąbrowską — *Noce i dnie* nigdy nie zostały przetłumaczone, bo tłumacz umarłby z nudów. A trudno studium literatury oprzeć na paru pisarzach „awangardowych” jak Gombrowicz, Bruno Schulz czy Witkacy.

3. Wykładając na Uniwersytecie Kalifornijskim zdawałem sobie sprawę, że literatury używam jako pretekstu, bo tej polskiej literatury w przekładzie n i e m a. Starałem się więc robić coś w rodzaju historii kultury.

I wydaje mi się, że zupełnie obłądna historia tego obszaru w połączeniu z piśmiennictwem, a zwłaszcza historią wyznań religijnych, może do czegoś prowadzić. Moje zajmowanie się polskimi arianami tym się tłumaczy, że istnieje literatura o nich w języku angielskim i że katolicyzm, reformacja, prawosławie mają uniwersalne znaczenie. A jeżeli ktoś chce poważnie zajmować się Rosją, będzie źle przygotowany, jeżeli nic nie wie o ludach i wyznaniach Rzeczypospolitej, stąd waga tak pojętej polonistyki także dla rusycystów.

Na ogół wykładanie literatury polskiej jest trudne i niewdzięczne, np. nie można dać kursu o Mickiewiczu, bo nikt nie przyjdzie. Można dać kurs o Puszkynie, ale i to od biedy, co innego Gogol, Tołstoj, Dostojewski.

4, 5. O czym można mówić, jeżeli samo położenie gruntu wymaga wiadomości na poziomie szkoły średniej?

Profesor Edward Możejko, kierownik Katedry Literatury Porównawczej, redaktor naczelny „Canadian Slavonic Papers”, The University of Alberta, Edmonton

Na początku krótkie wyjaśnienie. Nie jestem zawodowym polonistą; ukończyłem slawistykę krakowską i głównym obszarem mego zainteresowania stały się literatury słowiańskie.

1. Pierwsze pytanie ankiety wydaje się sugerować, że rozkwit rusycystyki na Zachodzie, czego jaskrawym przykładem są Stany Zjednoczone, jest wynikiem mocarstwowej pozycji Rosji. Moim zdaniem jest to pogląd z gruntu fałszywy. Główna przyczyna zainteresowań rusycystycznych leży w samej literaturze rosyjskiej, w jej fascynującej problematyce, artyzmie, bogactwie, różnorodności. Nie sądzę, aby wprowadzanie jakiegś równowagi między studiami rusycystycznymi (sowieologicznymi) a literaturami Europy Środkowowschodniej było możliwe, przynajmniej nie w najbliższym czasie, ale wprowadzenie perspektywy porównawczej między innymi kulturami, szczególnie na szczeblu studiów magisterskich i doktoranckich, może tu wydatnie pomóc.

Przy rozpatrywaniu tych spraw pamiętać należy o ciągłej mutacji zainteresowań badawczych i metodologicznych. Moda — oto słowo, które charakteryzuje współczesne tendencje: „izmy” mnożą się z zawrotną szybkością. Postmodernizm, poststrukturalizm, feminizm (spodziewam się w najbliższym czasie postfeminizmu). Mody wpływają tu mocno na zainteresowania humanistyczne młodzieży. Nie jestem pewien, czy polonistyka stwarza tu odpowiednią płaszczyznę do tego typu studiów.

2. Przyczyn małego zainteresowania literaturą polską jest kilka. W świadomości Zachodu Polska pozostaje krajem o drugorzędnym znaczeniu, ale z pewnością ogromne, niepowetowane szkody w tym zakresie wyrządziła tu prawie pięćdziesięcioletnia izolacja od Zachodu, przekonanie, że Polska jest jakąś przybudówką Rosji (np. pytania studentów w Danii: czy używacie cyrylicy, czy też macie alfabet łaciński, a przecież to są sąsiedzi zza miedzy). Po raz pierwszy, moim zdaniem, w dziejach Polski rytm rozwojowy jej literatury, przebiegający mniej więcej równoległe do głównych prądów kulturowych Europy, został zakłócony. Zamiast normalnie rozwijać się, literatura polska nie tylko musiała walczyć o własną tożsamość, o swój własny, autentyczny wyraz, ale i o tożsamość narodu zagrożonego obcą ideologią i przemocą. Romantyzm robił to samo, ale był częścią składową wielkiego ogólnoeuropejskiego prądu kulturalnego. W wieku dwudziestym pojawiła się literatura dysydencka. Poprzedziły ją literatura tzw. realizmu socjalistycznego (notabene bardzo słaba w Polsce), literatura odwilżowa, *samizdat* itp. Wszystko to identyfikowało nas z Sowietami czy sowiecką sferą wpływów, zjawiska te nie miały bowiem zachodnioeuropejskich odpowiedników. Jeśli student miał możliwość wyboru między np. literaturą polską, czeską czy rosyjską, to wybierał tę ostatnią, bo należała do narodu, który zdominował cały obszar Europy Środkowowschodniej. Ponadto trzeba odnotować, że reżim w Polsce był znacznie liberalniejszy niż np. w Bułgarii lub innych krajach bloku, co spowodowało, że literatura dysydencka nigdy nie nabrała w Polsce ani tego rozmachu, ani tej agresywności co w Rosji. Nie mieliśmy pisarzy–dysydentów na miarę A. Sołżenicyna, W. P. Aksjonowa, W. Wojnowicza czy W. Maksimowa lub A. Bitowa. Znaczenie polskiej literatury podziemnej było zresztą chwilowe, a jej wartość miała charakter ściśle historyczny, interesowała zagranicę o tyle, o ile wyrażała opór. Znacznie trwalszą pozycję i uznanie zdobył np. S. Lem jako autor fantastyki naukowej. Sądzę, że tzw. literatura źle obecna straciła już swą siłę przyciągającą. Czym lub raczej kim ją zastąpić? Miłoszem? Gombrowiczem? To za mało. Wydaje się, że należałoby dokonać pewnych przewartościowań w hierarchii całej powojennej literatury polskiej. Literatura polska ma sporo pisarzy, którzy nie angażowali się bezpośrednio w walkę z reżimem, a jednak stworzyli dzieła, które mogą wywołać zainteresowanie wśród czytelników zagranicznych.

3. Prowadziłem zajęcia prawie we wszystkich zakresach odnoszących się do studiów polonistycznych za granicą, a więc uczyłem podstaw języka, wykładałem gramatykę opisową i historyczną, przeglądałem historię literatury polskiej od renesansu do współczesności. Najczęściej jednak była to literatura XIX i XX w. Rzadko zapisują się na te zajęcia studenci

o autentycznych zainteresowaniach, pragnący wybrać polonistykę jako specjalizację. Na ogół są to studenci polskiego pochodzenia biorący tzw. *options*, to znaczy przedmioty, które mogą dowolnie wybrać w ramach swojej specjalizacji (np. inżynierii, studiów medycznych itd.). Ponieważ wydaje im się, że znają polski, wybierają ten przedmiot, bo liczą na podniesienie przeciętnej swoich ocen. Niekiedy są to niezwykle utalentowani ludzie w zakresie humanistyki, ale jednak nie widzą dla siebie perspektyw w polonistyce. Ich wybór cechuje daleko idący pragmatyzm. Zdarzają się jednak wypadki, że studenci kierują się bezinteresowną ciekawością, chęcią poznania innej kultury. Jeśli w takich wypadkach podejmują tematykę badawczą, to przeważnie w obrębie literatury dwudziestego wieku (np. jedna ze studentek napisała pod moim kierunkiem pracę magisterską o Tadeuszu Borowskim), okres międzywojenny lub powojenny.

4. Pytanie nie jest dla mnie całkiem jasne. Wbrew temu, co wydaje się ono sugerować, teoria literatury na Zachodzie (mówię tu głównie o Stanach Zjednoczonych i Kanadzie) jest bardzo często „zadomowiona” w katedrach anglistyki, a więc instytucjonalnie (podobnie jak w Polsce) związana z głównym kierunkiem studiów humanistycznych (zwykle katedry anglistyki są liczebnie największe). A więc zachodzi tu pewna paralela; ale jeśli pytanie podsuwa myśl, że na Zachodzie można by ewentualnie połączyć polonistykę z teorią literatury, to trzeba od razu powiedzieć, że sugestia taka nie liczy się z istniejącymi na uniwersytetach północnoamerykańskich układami między poszczególnymi dyscyplinami. Od dwudziestu mniej więcej lat rosnąca liczba katedr i tzw. programów literatur porównawczych dokonała wyłomu w dominacji katedr anglistyki w dziedzinie teorii. Obecnie katedry anglistyki reagują na to wyzwanie poprzez rozwijanie szeroko pojętych studiów kulturowych, łączących w sobie nie tylko język i literaturę, lecz również inne zjawiska współczesności, takie np. jak kultura masowa. W ramach studiów porównawczych prowadzi się badania teoretyczne, ale nie tylko. Właściwie przeważają prace typologiczne, oparte dosyć rygorystycznie na założeniach teoretycznych. Często włącza się do tych programów teorię i praktykę przekładów. Zawsze było dla mnie zagadką, dlaczego nie podjęto w Polsce bardziej systematycznych studiów porównawczych, dlaczego nie próbowano stworzyć takiej dyscypliny, bo przecież literatura polska stanowi tak wdzięczny materiał do porównania. W Polsce komparatystyką zajmowali się głównie neofilolodzy (M. Brahmer, Z. Szmydtowa), filolodzy klasyczni. Wydaje się, że należałoby w tym zakresie wytyczyć nowe kierunki, przełamać dotychczasową tradycję. Pod tym względem Węgrzy okazali się od nas znacznie mądrzejsi. Nowe wysiłki w tym kierunku rozszerzyłyby możliwości upowszechnienia

literatury polskiej i studiów polonistycznych, głównie przez kontakty i współpracę z ośrodkami studiów porównawczych za granicą, ale z pewnością wzmocniłyby, pośrednio czy bezpośrednio, polonistykę w ramach studiów slawistycznych na Zachodzie. W zachodzących obecnie przemianach w Polsce, także w zakresie życia akademickiego, powinno się znaleźć miejsce na utworzenie instytutów literatury porównawczej w kilku ośrodkach akademickich. Mogłoby to pomóc „umiędzynarodowieniu” humanistyki polskiej w ogóle, a polonistyki w szczególności.

5. Wydaje mi się, że poprawa sytuacji polonistyki zagranicznej zależy w dużym stopniu od współpracy zarówno krajowych instytucji kulturalnych i akademickich, jak i Polonii. Wspólnota Polska powołana do utrwalenia więzów między krajem a emigracją powinna się tą sprawą zainteresować. Pragnąłbym jednak podkreślić, że bez poparcia ośrodków akademickich niewiele tutaj da się zrobić. Takie organizacje jak Kongres Polonii Amerykańskiej czy Kongres Polonii Kanadyjskiej powinny zrozumieć wagę tego zagadnienia. Na uniwersytetach północnoamerykańskich nie istnieje instytucja lektoratów, tak jak np. w wypadku krajów zachodnioeuropejskich. Poprawić tę sytuację można na przykład poprzez utworzenie tzw. „Chairs of Polish Studies” przy różnych katedrach slawistyki. „Chair” to zwykle ktoś, kto wyłącznie zajmuje się jedną dyscypliną, dba wyłącznie o nią i nie wykłada innych przedmiotów.

**Aleksander Schenker, profesor lingwistyki słowiańskiej,
Yale University, New Haven**

Pozwolę sobie skomasować wszystkie punkty. Otóż według mnie ów „rusycystyczny imperializm” nie tylko nie szkodzi studiom literatury polskiej, ale jest ich racją bytu. Literaturą polską zajmowano by się znacznie mniej, gdyby nie była ona sprzężona lingwistycznie, politycznie, a przede wszystkim instytucjonalnie (mam tu na myśli całokształt programu studiów uniwersyteckich) z literaturą rosyjską. Na slawistycznej katedrze w Yale jedna tylko doktorantka (zresztą rodowita Polka) będzie się doktoryzować z literatury polskiej, a reszta (około dwudziestu pięciu) ma specjalizację rusycystyczną lub językoznawczą. Taka proporcja nie jest wyjątkiem w Ameryce i nie zależy ona od obecności stałego polonisty. U nas nie było inaczej, kiedy literaturę polską wykładali (lub mogli wykładać) Erlich i Picchio. Nie było inaczej w Berkeley, kiedy był tam Miłosz, ani w Harvardzie za Weintrauba. Wątpię też, czy na Columbii u Segala lub w Harvardzie za Barańczaka jest znacznie lepiej. Literatura polska na najlepszych uniwersytetach amerykańskich ma charakter usługowy. Znajomość jakiejś

literatury słowiańskiej nie-rosyjskiej jest wymagana od rusycystów i wtedy wielu z nich wybiera literaturę polską.

Dlaczego literatura polska nie ma więcej adeptów? — Po prostu dlatego, że dla Amerykanina literatura rosyjska jest atrakcyjniejsza niż jakakolwiek inna literatura Europy Środkowowschodniej. Gdyby to było tylko oczarowanie wielkim mocarstwem, można by było mieć nadzieję, że „po rozpadzie imperium politycznego są szanse na przywrócenie pewnej równowagi”. Tak jednak nie jest. Upadek imperium sowieckiego nie rokuje jednoczesnego zmniejszenia zainteresowania Rosją. Z imperium czy bez, Rosja pozostanie potęgą, a jej literatura nie przestanie fascynować zagranicznego obserwatora.

Jakie są tego przyczyny? Wydaje mi się, że chodzi tu o kilka momentów. Z punktu widzenia Amerykanina poezja, która jest zasłużoną chlubą literatury polskiej, nie decyduje o atrakcyjności literatury. Poezja wymaga specjalnego wyczulenia językowego i dogłębnego opanowania tradycji, która ją zrodziła. Bez tego recepcja sztuki poetyckiej musi być spłycona. Nawet doskonale tłumaczenia wierszy (a takich jest bardzo mało) nie mogą przekazać tych sygnałów, które automatycznie odbiera czytelnik zanurzony w język i jego tradycję poetycką.

W prozie literatura polska nie może współzawodniczyć z literaturą rosyjską. Kogo mamy przeciwstawić takim pisarzom dziewiętnastego wieku jak Puszkina, Lermontow, Gogol, Aksakow, Gonczarow, Leskow, Dostojewski, Turgieniew, Tołstoj czy Czechow (a to przecież nie wszyscy)? Jakakolwiek próba zmierzenia się z taką konkurencją musi dla nas wypaść żenująco. W dwudziestym wieku sytuacja jest bardziej wyrównana, ale ciągle daleko jej do równowagi. W Polsce się zapomina, że literatura rosyjska sięga swymi cerkiewno-słowiańskimi korzeniami jedenastego wieku. Zanim zrzuciliśmy z siebie kaftan łaciny, Rosjanie (może słuszniej byłoby powiedzieć wschodni Słowianie) już mieli znakomitych pisarzy (Nestor, Hilarion, Cyryl z Turowa, Szymon i Polikarp), wiele anonimowych arcydzieł literatury (*Słowo o wyprawie Igora*, *Zadońszczyzna*) i mnóstwo doskonałych tłumaczeń z literatury bizantyńskiej. A my? *Bogurodzicę* i *Kazania świętokrzyskie*.

Polska słusznie szczydzi się przynależnością do kultury zachodniej. Ale choć byliśmy, jesteśmy i zawsze będziemy częścią Europy, to jednak w naszych realiach oznacza to bycie „przyczynkiem” Europy. Za często zamiast kontynuować twórczo kulturę zachodnią, wtórujemy jej. Za często jesteśmy jej „pawiem i papugą”. A kiedy wyjątkowe jednostki zdobywają się na odrębność, to głównie w poezji. Na ogół polska problematyka literacka nie odkrywa przed amerykańskim studentem nowych horyzontów. Wszystko jest swojskie i zrozumiałe. Zupełnie inaczej jest z kulturą i literaturą rosyjską. Jest ona specyficzna i oryginal-

na. Rosjanin nie identyfikuje się z Zachodem, a czasem nawet widzi większe związki swego kraju z Azją niż z Europą. Ta egzotyka podnieca i wciąga czytelnika.

Ale sama egzotyka nie wystarcza. Literatury chińskiej tu się masowo nie studiuje. Chodzi jednak o to, że literatura rosyjska przy całej swojej odrębności jest uniwersalna. Przemawia do wszystkich i każdego z osobna, bo zмага się z istotą losu człowieka, z pojęciami dobra i miłości, zbrodni i kary, śmierci i przebaczenia. Jest po prostu głęboko chrześcijańska. Literatura polska natomiast (proszę wybaczyć to uogólnienie) jest albo sceptyczna, albo przykładowie cnotliwa, a to nie samo. Poza tym zbyt często jest osadzona w polskich realiach i bez ich znajomości niezrozumiała. Jak czytać *Dziady*, *Wesele* czy *Popioły* z amerykańskim studentem bez zaznajomienia go z polską rzeczywistością? A to wymaga czasu i pracy oraz wiary, że inwestycja się opłaci.

Czy można to zasadniczo zmienić? Sądzę, że nie. Teoria literatury jest w Ameryce rzeczywiście administracyjnie niezależną jednostką, ale jednak pozostaje zawsze w ścisłym związku z katedrą literatury angielskiej. Tego systemu zmienić się nie da. Wydaje mi się, że najlepszą szansą literatury polskiej w Ameryce jest pozostać w przyczepie rosyjskiej trojki i nalegać na utrzymanie ogólnoslawistycznego profilu studiów doktoranckich.

Co do mnie, jestem sławistą-językoznawcą i o literaturę zahaczam jedynie poprzez filologię. I właśnie w językoznawstwie widzę możliwości zdobycia parytetu dla polonistyki na uniwersytetach amerykańskich. Wszystkie języki słowiańskie są jednakowo ciekawe dla lingwisty z punktu widzenia ich struktury. A jeśli chodzi o ich historię, to polski język literacki ma nawet pewną przewagę nad swoimi słowiańskimi braćmi, bo jest on jedyny, który rozwija się nieprzerwanie od średniowiecza. Drugą dziedziną, w której mniejsze kraje Europy Środkowowschodniej mogą współzawodniczyć z Rosją na tutejszych uniwersytetach, jest historia. Bez względu na potęgę kraju problematyka historyczna, obojętne czy polska, rosyjska czy litewska, może zawsze być ciekawa i pouczająca.

Halina Stephan, profesor literatur słowiańskich, University of Florida

1. Pozwolę sobie zająć nieco pozytywistyczne stanowisko, które prowadzi do deprymującej konkluzji, że polonistyka w Stanach Zjednoczonych jest zjawiskiem marginesowym i, niezależnie od wysiłków osób związanych z polską literaturą, pozostanie na peryferiach „imperium rusycystycznego”. Z perspektywy osoby, która

studiowała slawistykę w Stanach Zjednoczonych, marginesowość polskiej literatury jest zupełnie zrozumiała i nie daje specjalnego powodu do załamania rąk. Zdaję sobie sprawę, że osoby o bardziej polonocentrycznych poglądach niż moje mogłyby dać niezliczone dowody sukcesów naukowych i pedagogicznych amerykańskiej polonistyki. Jakkolwiek rzutują one bez wątpienia na wewnętrzne kręgi polonistyczne, to rzadko wychodzą na ogólne forum slawistyczne, które jest absolutnie zdominowane przez rusycystykę.

Prawdą jest, że zagranica odegrała ważną rolę w przechowywaniu autentycznych polskich tradycji literackich, których rozwój w Polsce ze znanych powodów był bardzo ograniczony. Tradycja przetrwała jednak głównie w londyńskim i paryskim ośrodku emigracyjnym. Należy zauważyć, że uniwersytety — które są skierowane do ludności miejscowej — odgrywały pewną rolę w tym procesie tylko wtedy, jeżeli osoba powiązana z polską literaturą była także wykładowcą uniwersyteckim. Osób takich było niewiele. Należałoby wspomnieć Czesława Miłosza, Wacława Lednickiego i może jeszcze parę nazwisk. Obecnie polonistyka amerykańska jest w bardzo sympatycznych i energicznych rękach Stanisława Barańczaka (chwała mu za to), ale to nie zmienia stanu rzeczy; uniwersytety grają dziś znacznie mniejszą rolę w upowszechnianiu literatury polskiej niż polskie emigracyjne centra kulturalne. W tym wypadku, nawet jeżeli polonistyka jest wykładana przez osoby z Polski czy też pochodzenia polskiego, to ogranicza do pewnego stopnia jej atrakcyjność dla miejscowych studentów, którzy mają trudności ze zrozumieniem uniwersalności takiej literatury. I tu punkt dla strony rosyjskiej. Większość rusycystów amerykańskich jest pochodzenia czysto amerykańskiego i sama ich obecność w rusycystyce przekonuje amerykańskich studentów o obiektywnych wartościach artystycznych literatury rosyjskiej. Należy także pamiętać, że Amerykanie byli i są zafascynowani fenomenem Rosji, Związku Sowieckiego — rosyjskiej kultury politycznej i literackiej. Nie widzę najmniejszej możliwości, żeby „rozpad imperium politycznego” w jakikolwiek sposób zmienił ten stosunek. Polska w popularnej opinii pozostaje „jednym z małych krajów Europy Wschodniej” (*Moniza Clavier* Mrożka), a masowa emigracja zarobkowa pozostawiła w świadomości przeciętnego Amerykanina nie zachęcający obraz tego kraju.

Nadzieję naszą mogliby być studenci polonistyki na amerykańskich uniwersytetach, którzy zostaliby propagatorami osiągnięć polskiej literatury. W tym wypadku struktura uniwersyteckiego wykształcenia w Stanach Zjednoczonych powoduje, że tylko nieliczne jednostki będą odpowiednio kwalifikowane, żeby zagrać taką rolę. Pierwsze cztery lata uniwersytetu, które kończą się stopniem *Bachelor of Arts*, składają się

z wykształcenia ogólnego i tzw. *major* — specjalizacji, która normalnie wymaga zaliczenia dziesięciu–dwunastu przedmiotów w pewnej zdefiniowanej dziedzinie. Otóż prawie wszystkie instytucje dające wyższe wykształcenie, niezależnie od poziomu uczelni, oferują *major in Russian*. Na żadnej uczelni (z wyjątkiem małego polskiego St. Mary's College) nie ma *major in Polish* z tego prostego względu, że na poziomie pierwszych czterech lat żaden student nie mógłby zebrać odpowiedniej ilości kursów w zaawansowanym języku polskim i polskiej literaturze. Potencjalny sławista na pewno znacznie od zainteresowania rusycystyką. Wybierając karierę naukową, niewątpliwie będzie starał się o przyjęcie do *graduate school*, na uczelnię z rozszerzonym programem slawistycznym, i tam otrzyma *Master's Degree* i w końcu *Doctor of Philosophy*, który go upoważnia do wykładania na wyższych uczelniach. Jak przedstawia się sprawa tzw. *graduate programs*? Naturalnie świeżo upieczony *Russian major* będzie kontynuował studia rosyjskie na jednym z około trzydziestu większych programów slawistycznych w Stanach Zjednoczonych. Niektóre z nich będą miały wykładowcę polonistę. Należy pamiętać, że w tym wypadku potencjalny sławista najprawdopodobniej nie zna polskiego i zaczyna teraz od zera, chyba że jest urodzonym Polakiem, który otrzymał *Russian major*, bo tą drogą mógł dojść do slawistyki. Jakie wykształcenie w literaturze polskiej może otrzymać osoba, która jednak decyduje się studiować literaturę polską? Najprawdopodobniej będzie studiowała z jedynym wykładowcą literatury polskiej na wydziale (prawdziwą rzadkością byłby wydział z dwoma wykładowcami literatury polskiej; druga osoba byłaby zwykle *visiting professor*). Należy też wspomnieć, że nasz wykładowca literatury polskiej nie jest koniecznie w randze profesora, a może także być *Associate Professor* czy też *Assistant Professor*, co utrudni pisanie ewentualnej pracy doktorskiej pod jego kierunkiem. Jeżeli mimo tych trudności atrakcyjność literatury polskiej w dalszym ciągu przyciąga naszego sławistę, po otrzymaniu doktoratu ma on/ona absolutnie znikome możliwości otrzymania pracy na uczelni.

Według „Directory of Programs in Soviet and East European Studies 1990–1991”, który podaje spis personelu wydziałów uniwersyteckich włącznie z kierunkiem indywidualnych badań, dowiadujemy się, że osób podających literaturę polską jako pierwszą specjalność jest dziewięć (!) na wszystkich uniwersytetach i większych college'ach Stanów Zjednoczonych. Wykładowców, którzy zajmują się literaturą polską dodatkowo, obok innych specjalności (czyli w praktyce obok literatury rosyjskiej), jest jeszcze dwudziestu. Zgodnie z tą informacją polonistyka amerykańska w najlepszym wypadku składa się z około trzydziestu osób, w najgorszym — z dziewięciu.

Na pocieszenie trzeba przyznać, że z literaturą czeską jest jeszcze gorzej, nie mówiąc już o pozostałych literaturach słowiańskich. W takich warunkach literatura polska może tylko pozostać na marginesie, bo struktura uniwersytetu nie daje możliwości zaznajomienia się z nią w sposób przygotowujący do pracy zawodowej w tej dziedzinie. Z kolei pracy takiej nie ma — i tak się zamyka krąg.

2. Ogólnie nikt nie kwestionuje, że literatura polska jest ciekawa i warta zainteresowania. Jednak dostępna jest tylko czytelnikowi amerykańskiemu w tłumaczeniach. Oczywiście, tłumaczenia polskiej literatury są omawiane w „New York Book Review” i komentowane w prasie zawodowej. Obecnie jednak nakłady tych tłumaczeń są tak małe, że są krótko dostępne, co z kolei ogranicza możliwości używania ich jako tekstów uniwersyteckich. Podstawowym problemem literatury polskiej jest więc bardzo ograniczona ilość przekładów, a także utrudniony dostęp do tych przekładów.

3. Większość uniwersytetów, które nie mają zaawansowanych programów slawistycznych, w najlepszym wypadku oferuje „Survey of Polish Literature” jako kurs semestralny lub — znacznie rzadziej — dwusemestralny. Jest to podstawowy wstęp do literatury polskiej od średniowiecza do literatury współczesnej i wymaga też ogólnego wprowadzenia do kultury polskiej. Temat jest, jak wiadomo, obszerny; studenci zwykle nie mają żadnego przygotowania w tym kierunku — wybierają ten przedmiot w celu zaznajomienia się z polską kulturą (zwykle z powodu swego pochodzenia polskiego, kontaktów z Polską, lub w celu rozszerzenia wiadomości o literaturze słowiańskiej, którą poznali przez literaturę rosyjską).

4. Upowszechnienie polskich prac z teorii literatury w tłumaczeniu angielskim mogłoby znaleźć duży oddźwięk wśród wielkiej liczby osób zainteresowanych tą dziedziną. Amerykanie obecnie przeżywają absolutną fascynację teoriami literatury; od czasów formalistów rosyjskich oczekują także ciekawych teoretycznych prac „ze Wschodu”. Jedyną możliwością rozszerzenia polonistyki polskiej mogłyby być lektoraty oferowane przez uniwersytety, które zapraszałyby wykładowców z Polski na warunkach, w których część kosztów ponosiłby uniwersytet, a część jakaś fundacja. Program taki obecnie istnieje dla lektorów rosyjskich; można by to łatwo powtórzyć w polskiej wersji.

Ewa Thompson, profesor slawistyki, The Rice University, Houston, Texas

Krótkie odpowiedzi na pytania:

1. Szanse takie są, ale ich realizacja zależy prawie wyłącznie od finan-

<http://rcin.org.pl>

sowych i czasowych wysiłków osób przychylnych polonistyce i polskiej literaturze, a więc Polaków i Polek oraz osób polskiego pochodzenia. Nie należy się spodziewać, że jakkolwiek uniwersytet w jakimkolwiek kraju będzie łożyć na rozwój polonistyki. Pieniądze na to muszą wyjść z polskich kieszeni, tak jak Ośrodek Badań Ukraińskich przy (nie na!) uniwersytecie harwardzkim zawdzięcza swe istnienie kieszeniom Ukraińców.

2. Literatura w krajach Pierwszego Świata jest postrzegana w kontekście polityczno-ekonomicznym. Wiedział o tym Piotr Wielki i wszyscy jego następcy. Nie wiedzieli o tym polscy królowie i mało kto wyciąga z tego konsekwencje w Polsce. Im więcej sukcesów ekonomicznych i politycznych będą odnosili Polacy, tym lepiej dla polskiej literatury.

3. Z wykształcenia jestem komparatystką. Włączam regularnie literaturę i politologię polską do mojego kursu „Slavic Cultures” oraz do niektórych innych kursów. Jest w nich Herbert, Miłosz, Mrożek, Kołakowski, czasem Kochanowski i Mickiewicz.

4. Zarówno w Polsce, jak i w krajach Pierwszego Świata teoria literatury związana jest z wydziałami języka narodowego. Tak więc w Stanach Zjednoczonych większość teoretyków literatury jest zatrudniana na wydziałach anglistyki. Nie ma żadnych szans ani chyba powodów do zmiany tej sytuacji.

5. Wziąwszy pod uwagę mizerny stan posiadania w tej dziedzinie, należy z pewnością robić swoje z nadzieją, że coś się z tego wykluje.

Dłuższe i z konieczności impresjonistyczne odpowiedzi na pytania:

Doliczyłam się tuzina polskich polonistów, wykładających na dobrych i takich sobie uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych. Połowa z nich jednak nie wyklada wyłącznie polonistyki, lecz również ruscystykę lub komparatystykę. Lektorat polskiego, zwłaszcza ten nieregularny, można znaleźć w katalogach znacznie większej liczby uniwersytetów.

Kogo czytają? I kto czyta? W Stanach Zjednoczonych w czasie ostatnich dziesięcioleci pojawiły się dziesiątki tłumaczeń z polskiej literatury. Miłosza po Noblu sporo tłumaczono. Jest trochę Gombrowicza; są powieści Konwickiego, obu Brandysów, ostatnio Szczypiorskiego; sztuki Janusza Głowackiego i Mrożka. Jest Herbert, Schulz, Różewicz, Symborska i paru innych poetów i poetek; ostatnio doszło *Wesele* Wyspiańskiego, jest nowe tłumaczenie *Trylogii* Sienkiewicza; jest *Pan Tadeusz*, są komedie Fredry i *Pamiętniki* Paska; jest literatura zagłady Żydów; przybył ostatnio wybór wierszy z pierwszych czterech wieków poezji polskiej... Gdyby w Polsce wydano tyle tytułów z jakiejś literatury, można by było powiedzieć, że literatura ta nie jest obca polskiemu

czytelnikowi. Co innego w Stanach. USA jest krajem 250 milionów mieszkańców, przeszło dwóch tysięcy szkół wyższych i uniwersytetów; krajem, w którym w roku 1986 wyszło 57 845 tytułów książkowych, w 1985 — 52 994, w 1984 — 51 555 (nie obejmuje to obfitego samizdatu, literatury brukowej, książeczek dla dzieci etc.); krajem, w którym wydawane są setki tysięcy periodyków rocznie. Do tego dochodzi problem niewielkiego zapotrzebowania na polską literaturę (niestety, polska inteligencja w Stanach nie ma zwyczaju kupowania polskich książek). Małe wydawnictwa często drukują tylko 500–1000 egzemplarzy danego tytułu. Ostrzegam więc przed fałszywymi entuzjastami, zachłystującymi się tytułami setek książek i artykułów o Polsce i polskiej literaturze, które ukazały się w ubiegłym dziesięcioleciu. (Robert Kostrzewa niedawno w „Kulturze” doliczył się zaledwie dwóch tysięcy osób w USA, poważnie zainteresowanych nawet nie Polską, ale całą Europą Wschodnią).

Kto jest znany? Proponuję przyjęcie kryterium rozpoznawalności autora polskiego przez wykładowców literatury światowej (zatrudnianych zwykle przez wydziały anglistyki) lub przez amerykańskich rusycystów. Mam wrażenie, że na przeciętnym uniwersytecie ludzie ci znają nazwisko Mrożka, znają Miłosza *Zniewolony umysł* (ale nic z poezji); nazwisko Sienkiewicza obito im się o uszy, ale rzadko kiedy słyszeli o Gombrowiczu. Z Czechów słyszeli o Havlu, Kunderze, ale już Bogusława Hrabala nie znają, choć był tłumaczony. Zaś przeciętny absolwent uniwersytetu zupełnie o takich autorach nie słyszał. „Idą” miliony egzemplarzy książek Sołżenicyna, ale tylko skromne tysiące Miłosza.

Co może literatura polska powiedzieć amerykańskiemu czytelnikowi? Moim zdaniem, polska literatura przepojona jest głębokim, acz nieprecyzyjnie sformułowanym przekonaniem, że tradycyjna judeo-chrześcijańska moralność (dekalog???, ewangelia) ma sens, że nietzscheańskie szukanie absolutnej wolności lub zwalanie ludzkich klęsk na źle ustawioną podświadomość prowadzi do jeszcze większych porażek. Heglowski historycyzm pozostał literaturze polskiej obcy. To prawda, że spora część tej literatury jest nieprzemysłana, naśladownicza i przesłodzona (lub naiwnie gorzka). Ale nie wszystko; nawet niektóre pozornie słabe jej części, np., Sienkiewicz, cierpią głównie na brak inteligentnych komentarzy. W literaturze polskiej nigdy nie zatarła się świadomość różnicy pomiędzy dobrem i złem. Unikatowością Polaków jest ich przywiązanie do chrześcijaństwa, do tej Europy, która żywiła się i wyrosła na katolicyzmie, i naprawdę nie ma sensu zastępowanie tego feminizmem czy walką o świeckość szkół. Słusznie napisał amerykański intelektualista Paul Gottfried (*Agrarianism and the Future of Eastern Europe*, „The Southern Partisan” 1990 nr 2), że polski etos społeczny ma dużo wspólnego z *Agrarians*, amerykańskim ugrupowaniem in-

telektualno-politycznym lat trzydziestych i czterdziestych, i że Polska tego nie powinna się wstydzić, lecz owszem — kultywować, gdyż na tym polega jej wkład w kulturę zachodnią.

Wynika z tego, że wbrew marzeniom polskiej jaśniepańsko-lewicowej inteligencji szansa polskiej literatury w Ameryce jest prawdopodobnie większa wśród kół czytających „Chronicles”, „Modern Age” i katolicki „Crisis” niż wśród entuzjastów pism, od wielu lat sympatyzujących z lewicowymi rewolucjami przeszłości (choć po ujawnieniu kłopotów imperium sowieckiego i po wojnie w Zatoce Nawet „The New York Times” zaczął się przesunąć na prawo). Nie jest przypadkiem, że nie Hłaską, lecz *Zniewolonym umysłem* dotarli Polacy do amerykańskiego czytelnika; że w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Henryk Sienkiewicz był najpopularniejszym obcym autorem w Stanach Zjednoczonych i że jeden z najbliższych numerów amerykańskiego kwartalnika „Renaissance” będzie zatytułowany „The Sacred in Polish Literature” (numer ten będzie redagowany przez znakomitą amerykańską polonistkę, Halinę Filipowicz). Poloniści polscy powinni te fakty wziąć pod uwagę.

Wielkie literatury świata pisane są i postrzegane w atmosferze tej pewności siebie — czy nawet arogancji — którą daje polityczny sukces. Tej pewności siebie, którą słyszymy u pisarzy rosyjskich, u Tołstoja, Dostojewskiego, Nabokowa, Sołżenicyna, brakuje pisarzom polskim.

W rozmowach z Polakami tu i w Polsce często spotykam się z wiarą, że Amerykanie powinni łożyć na katedry polonistyki lub choćby na lektoraty polskiego, bo polska literatura jest lepsza, niż to się wydaje amerykańskim ignorantom. Wiara ta prowadzi do rozczarowań, z których rodzi się apatia i załamanie. Polska inteligencja w Ameryce wybrzydza na polsko-amerykańskich kmiotków, których przodkowie przybyli tu przed pierwszą wojną światową, ale ci kmiotkowie łożą na swoje wycinanki, podczas gdy inteligencja nie łoży na katedry polonistyki.

Los polonistyki w USA zależy od tego, ile osób pracujących na amerykańskich uniwersytetach i w wolnych zawodach zechce poświęcić na nią powiedzmy 5% swoich rocznych dochodów oraz podobną ilość swojego wolnego czasu. Paręset osób, poświęcających podobną ilość czasu i pieniędzy na problemy polityczne związane z Europą Wschodnią, załatwiłoby sprawę czasopisma w języku angielskim, o którym pisał nieodżałowanej pamięci Leopold Tyrmand w książeczce *Tu w Ameryce, czyli dobre rady dla Polaków* (Londyn, Polska Fundacja Kulturalna 1973).

Na amerykańskich wydziałach slawistyki sporo jest „maleńkich rosyjskich pań” (*little Russian ladies*), lektorek rosyjskiego bezbrzeżnie od-

danych swojemu ukochanemu przedmiotowi, pracujących prawie za darmo. Jeżeli literatura polska ma przejść z kategorii bubli do kategorii książek czytanych, małe polskie panie, pracujące za grosze albo nawet za darmo, bardzo by się przydały na naszych uniwersytetach. W społeczeństwach Pierwszego Świata wszyscy ciągle walczą o rozpoznanie i uznanie zarówno na polu gospodarczym, jak i kulturalnym. Nadzieję na to, że ci walczący nagle przyjmą postawę Matki Teresy w odniesieniu do polskich profesorów i stworzą im możliwości rozwoju, należy włożyć między bajki.

Teraz już można ubiegać się o pracę na amerykańskich uniwersytetach, stając do współzawodnictwa tak, jak to robimy my, tzn. zaczynając od czytania biuletynów AAASS, AATSEEL, MLA zawierających ogłoszenia o pracy, i pisząc setki listów.

I jeszcze jedno. Rzadko spotykam Polaków lub Polki, którzy efektywnie pomagają innym Polakom/Polkom piąć się po drabinie społecznej za granicą. Przykładem jest upadek polonistyki na uniwersytecie kalifornijskim po odejściu Czesława Miłosza na emeryturę. Nawet laureat Nobla nie potrafił czy nie mógł podjąć politycznego wysiłku rozegrania swojego odejścia tak, aby ktoś efektywny objął po nim stanowisko wykładowcy literatury i aby lektorat języka polskiego też został „wmurowany” w program i obsadzony polskim odpowiednikiem „małych rosyjskich pań”.

Znacznie bardziej gorszący wypadek znam ze słyszenia. Lewicowego polskiego agnostyka, pracującego na świetnym uniwersytecie, poproszono o opinię w sprawie promocji prawicowego polskiego katolika, pracującego na drugorzędnym uniwersytecie. Obaj byli polonistami. Pierwszy wydał o drugim tak negatywną opinię, że adresaci jej, niechętnie ustosunkowani (jak to zwykle w Ameryce) do tak silnych przejawów ideologicznej nienawiści, zignorowali ją i promowali owego polonistę. Takie bywają ideologiczne rozgrywki w maciupeńskiej grupce polonistów w Ameryce. Jak już zauważył Gombrowicz, sarmackie przywary dawno już przepłynęły Atlantyk.

W małym polskim kwartalniku, którego jestem redaktorką, „The Sarmatian Review”, ukazało się w roku 1982 „Dziesięcioro przykazań sarmackich”. Taktyka w nich opisana gwarantuje niepowodzenie polonistyki za granicą. Pozwolę sobie zakończyć cytatem:

W wystąpieniach publicznych na forum amerykańskim staraj się zawsze pomniejszyć osiągnięcia Twoich polskich znajomych i nieznajomych. Jeśli zaś nie da się nic złego powiedzieć o danym Polaku, najlepiej jego osiągnięcia przemilczeć. We współczesnym świecie, w którym prasa i opinia publiczna mają większy wpływ na politykę niż rządy, przemilczanie jest jedną z najlepszych metod uśmiercania przeciwnika...

Nigdy nie pomagaj Polakom w znalezieniu pracy w przedsiębiorstwie, w którym pracujesz,

lub w mieście, w którym mieszkasz. Niech sobie radzą sami, tak jak Ty kiedyś. Wyrażając w towarzystwie opinie na tematy zawodowo-społeczne, nigdy nie zadawaj sobie pytania: „Czy moje opinie są korzystne dla Polaków?” Jesteś przecież człowiekiem honoru, a ludzie honorowi są bezstronni...

Pamiętaj zawsze, że każdy Polak to twój wróg, i staraj się mu ile możesz zaszkodzić. A jeżeli nie możesz zaszkodzić, przynajmniej się z nim pokłóć.

Tomas Venclova, profesor literatur słowiańskich, Yale University, New Haven

1. Miejmy nadzieję, że ów „rusycystyczny imperializm” się skończy. Ostatnio np. pojawiło się zainteresowanie literaturą litewską i gruzińską. Właśnie dlatego, że te kraje są teraz aktywne. Onegdaj prowadziłem kurs na Columbia University. To były wykłady „nierosyjskich literatur radzieckich”. Tego tytułu nie można było zmienić, choć zawiera on rzecz bardzo sporną. Dla Litwina jest obrażą, dla Gruzina też, nazywanie ich literatur nie rosyjskimi, ale radzieckimi. Oczywiście, są to obecnie już nieradzieckie literatury. W czasie kursu starałem się to wyjaśnić. Myślę, że skoro jest dość żywe zainteresowanie literaturą litewską, łotewską, estońską, to można żywić nadzieję, że zainteresowanie literaturą polską będzie znacznie większe niż dotychczas.

2. Jedną z głównych trudności jest to, że poza tymi Polakami, którzy czasem przychodzą, nikt nie włada językiem polskim. W związku z tym czytanie tekstów przychodzi niełatwo, a ja jednak nalegam na czytanie tekstów w oryginale. Ogólnie biorąc, zainteresowanie literaturą polską wynika z zainteresowania samą Polską. Z tego, że jest ona na pierwszych stronach gazet i ludzie spodziewają się, że literatura pomoże im w zrozumieniu tego, co się dzieje. I trochę naprawdę pomaga.

Niezbyt atrakcyjna dla zachodniego czytelnika jest ta część polskiej literatury, w której dominuje martyrologiczna tonacja i problematyka. Lecz przecież istnieje inny nurt, związany z Witkacym, Gombrowiczem oraz innymi, gdzie żadnej martyrologii nie ma albo jest specjalnie przetworzona. Niestety, ten nurt jest znany mniej, niż się na ogół sądzi. W mojej praktyce dydaktycznej staram się nie akcentować tych wątków martyrologicznych. Więcej mówię o sprawach z zakresu poetyki: o rodzajach literackich, gatunkach, archetypach, wersologii. Staram się o pełniejsze pokazanie polskiego baroku, głównie Sępa Szarzyńskiego, jeżeli można go nazwać pisarzem barokowym. Poezja Sępa jest mi bliska i pokazuję ją w kontekście europejskim. Drugi punkt ciężkości moich piętnastu wykładów z literatury polskiej stanowią poeci romantyczni: Mickiewicz, Krasiński, Norwid. Słowacki — w mniejszym stopniu.

3. Polonistyka na Yale istnieje trochę na wariackich papierach. Przed

wszystkim od czasu do czasu wyklada się język polski w postaci elementarnego kursu. Ja też to robiłem. Podobnie jak od czasu do czasu wyklada się język serbsko-chorwacki, słoweński albo bułgarski. Co drugi rok robimy też „Survey of Polish Literature”, ogólny przegląd literatury polskiej, oczywiście bardzo powierzchowny. Gdy byłem w Yale jeszcze aspirantem, sam wysłuchałem takiego kursu wielkiego mediewisty Ricardo Picchio, który mówił głównie o *Bogurodzicy*, trochę o Kochanowskim i już bardzo krótko o Mickiewiczu, na którym kończył. Teraz Picchio już nie pracuje na Yale i od czasu do czasu ja to robię, co jest kłopotliwe, bo nie znam się na polskiej mediewistyce, a trzeba o tym również coś powiedzieć. Opracowałem kilkanaście wykładów, które kończą się na katastrofistach wileńskich. Po takim kursie studenci piszą pracę na wybrany przez siebie temat. Większość interesuje się literaturą powojenną. I chociaż ja tego nie wykładam, podtrzymuję ich w tych zamiarach, a oni pracują już na własną rękę. W tej chwili mam pod opieką studenta z Belgii, który pisze pracę na temat Kuśniewicza. On zajmuje się Kuśniewiczem na serio; zna go osobiście, tłumaczy na język francuski, opublikował już kilka tych tłumaczeń. Ale jeszcze nie wiadomo, kiedy zakończy swoją pracę.

Takie są moje zatrudnienia polonistyczne. Jest tego mało, robione jest rzadko, a chciałbym to robić lepiej. Zainteresowanie studentów nie jest duże. Na taki kurs zgłasza się czterech, pięciu studentów, w tym zawsze jakiś Polak albo dwóch.

5. Moje związki z tymi środowiskami są niestety nikłe. Głównie jednak jestem rusycystą i lituanistą. Polonistyka — jak powiedziałem — to rzadkie i nieśmiałe wypadki. Gdy chodzi o drugą część pytania, sądziłem i sądzę, że zwykle jest lepiej, gdy ludzie pracują osobno. A im więcej tych dróg, tym lepiej. A więc komunikacja, ale nie integracja.

Andrzej Vincenz, profesor sławistyki na uniwersytecie w Getyndze

Odpowiadam z wahaniem, gdyż jestem językoznawcą, a w dziedzinie językoznawstwa sytuacja jest, zdaje się, nieco inna.

1. W Niemczech nie ma zasadniczo polonistyki czy rusycystyki, jest tzw. sławistyka, co w praktyce oznacza rosyjski i symbolicznie trochę jeszcze czegoś (np. polski, słowacki lub bułgarski). Większość „sławistów” uznałaby, jak sądzę, „przywrócenie równowagi” za oburzające naruszenie równowagi (na ostatnim zjeździe zachodnoniemieckich sławistów dwie trzecie wykładów było z rusycystyki, pozostałe z całej reszty sławistyki; oznacza to mniej więcej stosunek rusycystyka : polonistyka

jak 10:1). Wydaje mi się też, że większość slawistów nie ma pojęcia o literaturach innych niż rosyjska albo np. rosyjska plus jakaś druga (bułgarska lub czeska) i sądzą, że to w gruncie rzeczy takie mini-literatury rosyjskie. Tutaj katastrofalne dla polonistyki jest to, iż jest częścią slawistyki (w językoznawstwie jest nieco inaczej).

2, 3. W całej zachodniej Europie panuje przekonanie, że istnieje jakaś egzotyczna *âme russe*, zresztą uważana ogólnie za mniej lub więcej identyczną z *âme slave*. Jeśli by się chciało, aby jakaś literatura słowiańska przyciągała czytelników jako jeszcze bardziej egzotyczna niż rosyjska, to trzeba by ich przekonać, że jest jeszcze bardziej słowiańska. Szanse na to może miałyby literatura serbska, ale nie polska. W międzyczasie, tj. od przełomu XIX i XX wieku, doszło, jak mi się zdaje, jeszcze coś innego. Dzięki temu, że znani się stali, przynajmniej z nazwiska, Tołstoj, Dostojewski, Czechow, Puszkina, może też Gogol i Gorki, powstało przekonanie, że literatura rosyjska należy do literatury światowej (pojęcie w Niemczech bardzo ważne, i tutaj w swoim czasie przez Goethego wymyślone). Na dobrą sprawę w Niemczech, oprócz literatur starożytnych, tj. greckiej i łacińskiej, i oprócz niemieckiej, do literatury światowej zalicza się tylko trzy literatury obce: francuską, anglo-amerykańską i włoską. Potem dość długo nic, potem hiszpańska (hiszpańskojęzyczna) i rosyjska. Mam wrażenie, że ważne jest tu przeświadczenie, że istnieją „klasycy” rosyjscy, każdy więc dalszy przekład z rosyjskiego dodaje się do tego „fundamentu”. Z innych literatur przekłada się też coś od czasu do czasu, ale wydaje mi się, iż wydawcy i czytelnicy traktują to na zasadzie egzotyki, jako rodzaj *curiosum*, a nie jako coś, co świadczy o istnieniu jakiejś literatury, np. duńskiej czy czeskiej, a więc coś, co zachęcałoby do zapoznawania się z daną literaturą. Na tej zasadzie funkcjonuje, jak sądzę, w Niemczech np. Szwejk czy Selma Lagerlöf. Jeśliśmy zrobili rachunek sumienia, to akurat takie samo jest nastawienie czytelnika polskiego do literatury czeskiej (tenże Szwejk), węgierskiej (*Chłopcy z Placu Broni*) czy rumuńskiej. Jak temu zaradzić, nie wiem (i znowu nie mówię oczywiście o specjalistach).

4. Może jakaś zmiana byłaby pożądana. Nie należy jednak zapominać, że polonistyka ma w Niemczech mniej więcej taką wagę, jak w Polsce jakaś rumunistyka czy estonistyka. Czy jest tu miejsce i czas na teorię literatury? Ważniejsze byłoby może powstanie jakiejś komparatystyki (w Niemczech dość rzadkiej), a zwłaszcza jakiejś historii literatur europejskich.

5. Nie wiem, czy można mówić o jakimś modelu. My np. jako językoznawcy mamy sporo kontaktów z UW, UJ i Instytutem Języka Polskiego PAN w Krakowie, także z germanistyką językoznawczą UJ, co rozwinęło się zresztą dość przypadkowo i głównie z naszej inicjatywy. Tu trzeba by opracować jakiś program na większą skalę.